WTOREK Nr 140 27.XI.1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

CIEKAWIE SPĘDZIĆ WOLNY CZAS NA WŁASNYM PODWÓRKU

LUBLIN (HSI). Przez cały rok w wielu miejscowościach woj. lubelskiego odbywały się liczne turnieje i konkursy na najlepsze podwórko, najładniejsze osiedle – takie, w którym najmilej i najciekawiej można spędzić wolny czas. Organizatorami tych wszystkich inicjatyw byli harcerze z Chorągwi Lubelskiej. Oprócz tych konkursów harcerze urządzili również miasteczka ruchu drogowego, zorganizowali pokazy i występy dla mieszkańców osiedla, pracowali przy upiększaniu otoczenia domów i szkoły. Ci najlepsi, którzy wykazali się niezwykłą pracowitością i wspaniałymi pomysłami, spotkali się na wojewódzkim finale konkursu „HARCERZE WSPÓŁGOSPODARZAMI OSIEDLA I WSI".

Najlepszymi z najlepszych w tegorocznym konkursie okazały się szczepy harcerskie ze Szkoły Podstawowej nr 5 w Puławach, Zbiorczej Szkoły Gminnej w Michowie i Szkoły Podstawowej w Dęblinie.

III Rajd Wiślany

PUŁAWY (HSI). Harcerze z Hufca ZHP im. Bohaterów Armii Ludowej w Puławach w ramach trwającej operacji WISŁA 2000 zorganizowali już po raz trzeci Rajd Harcerskiej Służby Wiśle. Rajd przebiegał trzema trasami: Janowiec – Puławy, Kazimierz – Czerniawy – Puławy i Opatkowice – Puławy. Trasy rajdu wybrane były tak, aby jego uczestnicy mogli poznać i utrwalić na swoich rysunkach i fotografiach piękno nadwiślańskiego krajobrazu i jego miast. Jak twierdzą wszyscy uczestnicy, ten rajd był prawdziwą i niezapomnianą przygodą. Jedni mieli spotkanie z krową, która zmusiła do przestawienia rajdowego szyku, inni na kazimierzowskim rynku spotkali cudownego wprost gawędziarza, od którego aż trudno było się oderwać. Zakończenie rajdu odbyło się przy tradycyjnym harcerskim ognisku. **(dz)**

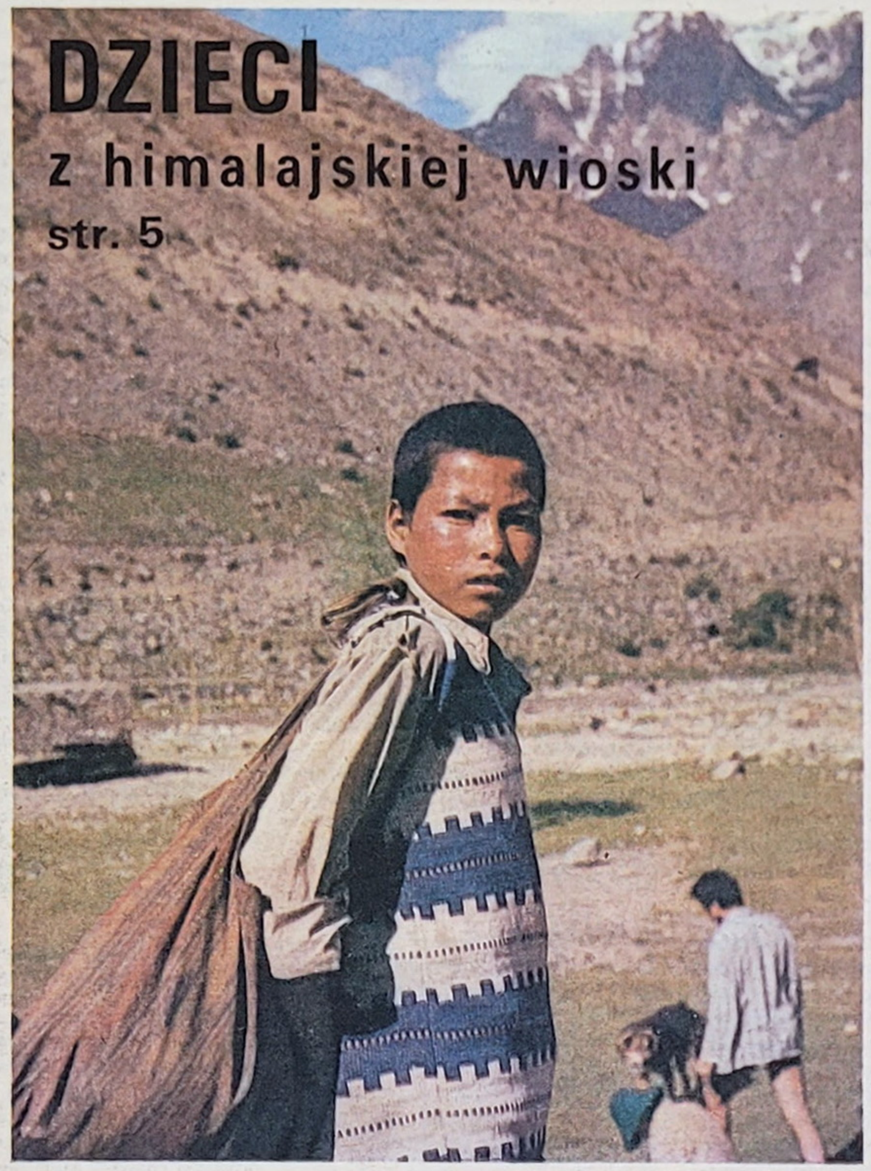

DZIECI z himalajskiej wioski

str. 5

Bariera

„Ta sprawa spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie chciałam wierzyć, dopóki nie zobaczyłam na własne oczy. I to Ewa! Co ona siedzi taka przerażona? Głowa schylona, zgarbiona. Przecież jej nie zjem. Mam nadzieję, że będzie rozsądna. Godzina czasu powinna wystarczyć. Nie chcę, żeby Marcin czekał w przedszkolu".

CIĄG DALSZY NA STR. 3

REPORTER Świata Młodych

Uwaga, nowe zadanie dla Ligi Reporterów!

„REPORTAŻ Z WCZORAJ"

Zgodnie z zapowiedzią mam dla Was dzisiaj nowe dziennikarskie zadanie. Wszyscy ci, którzy czują potrzebę pisania i przede wszystkim mają o czym pisać, niech chwycą za pióra. W środku numeru na str. 3 znajdziecie dokładne wskazówki.

SZEF LIGI REPORTERÓW

A ONI WCIĄŻ AKTYWNI

- Serce dla seniora
- Bal kosmiczny
- Udział w akcji „Morena"

GDAŃSK (HSI). Przy Szkole Podstawowej nr 54 w Gdańsku-Wrzeszczu działa szczep ZHP im. Obrońców Helu. Instruktorzy drużyn tego szczepu wspólnie z referatem zuchowym Hufca Wrzeszcz-Oliwa zorganizowali ciekawe spotkanie w ośrodku w Wagoninie. Tu odbył się harcerski sprawdzian dla członków kręgu instruktorskiego „Zodiak", stanowiący inaugurację jego działalności.

Warunkiem uzyskania członkostwa kręgu było pokonanie toru przeszkód i udział w nocnym biegu patrolowym. Dwudniowe spotkanie zakończył „bal kosmiczny".

Szczep uczestniczy także w harcerskiej akcji „Morena". Ostatnio 20-osobowa grupa harcerzy pod wodzą phm. W. Filipczaka pracowała w ośrodku „Moreny" przy Jaśkowej Dolinie, gdzie sadzili krzewy i róże. Podjęto także zadania akcji „Serce dla seniora", nawiązując w rejonie szkoły kontakt z potrzebującymi pomocy ludźmi starszymi. (aw)

NAJWYŻSZE HARCERSKIE ODZNACZENIE DLA MIROSŁAWA HERMASZEWSKIEGO

Już ponad rok minął od lotu pierwszego Polaka w kosmos. W tym czasie Mirosław Hermaszewski bardzo często spotykał się z harcerzami, dużą popularnością wśród młodzieży cieszyły się audycje radiowe i telewizyjne, w których popularyzował tematykę kosmiczną.

12 listopada br. Mirosław Hermaszewski spotkał się w Miedzeszynie koło Warszawy z komendantami chorągwi ZHP, którzy rozpoczęli coroczną kursokonferencję. Naczelnik ZHP Jerzy Wojciechowski odznaczył polskiego kosmonautę Złotym Krzyżem „Za zasługi dla ZHP". Dziękując za wyróżnienie Mirosław Hermaszewski wręczył naczelnikowi ZHP medal wydany dla upamiętnienia polsko-radzieckiego lotu kosmicznego.

Fot. **Jacek Łopuszyński**

Listopadowe grzyby

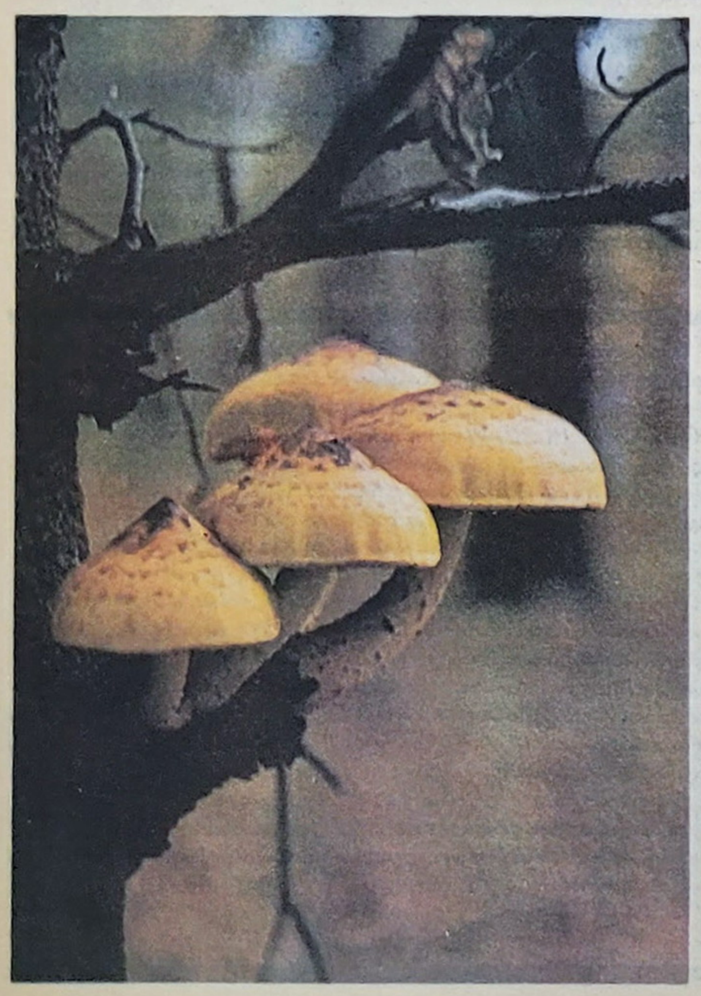

BLIŻEJ PRZYRODY Świat Młodych

NASI CZYTELNICY FOTOGRAFUJĄ

Sfotografował je **Adam Orendorz z Katowic.** Grzyby te należą do bogatej w gatunki rodziny bedłkowatych, której przedstawiciele szczególnie często wyrastają właśnie na drzewach. Czekamy na dalsze zdjęcia naszych Czytelników – zwłaszcza kolorowe, bo ostatnio nadchodzi ich mniej. **(tok)**

GWIAZDOZBIÓR

Dziś zamiast „Gwiazdozbioru" – zapraszamy na spotkanie z **profesorem ALEKSANDREM JACKIEWICZEM.** Dzięki swoim pracom krytycznym i naukowym oraz... telewizji jest znany i popularny wśród ludzi interesujących się filmem nie mniej niż niejedna aktorska „gwiazda". To on co tydzień zapala dla telewidzów „Latarnię Czarnoksięską".

Aleksander Jackiewicz – z wykształcenia polonista i historyk sztuki, z zawodu – naukowiec, wykładowca uniwersytecki, kierownik zakładu filmu w Instytucie Sztuki PAN, znawca i miłośnik malarstwa, jest też literatem – autorem poszukiwanych w księgarniach powieści historycznych i romansowych. Do tego wybitnego specjalisty zwróciliśmy się z prośbą, by wziął udział w rozważaniach nad filmem, które prowadzimy na naszych łamach. Dotąd głos już zabierali w „Gwiazdozbiorze" i poza tą rubryką reżyserzy: Andrzej Wajda, Stanisław Jędryka, Wojciech Fiwek i autor scenariuszy Aleksander Minkowski.

Dziś na str. 2 mamy okazję posłuchać profesora Jackiewicza, poznać jego poglądy na niektóre problemy popularyzacji wiedzy filmowej i przy okazji uchylić zasłony jego prywatnego gabinetu. (eb)

SŁONIE NA EMERYTURZE

INDIE (PAP). Słoń Ayappan, który przepracował 44 lata w leśnictwie indyjskim oraz jego koleżanka słonica Saroja z 42-letnim stażem pracy, otrzymali dokumenty emerytalne od ministra informacji stanu Tamil Nadu. Ayappan i Saroja, należące do grupy słoni roboczych, będą odtąd mieć zapewnione dożywotnio wyżywienie i opiekę weterynarza. Jak pisze madraski dziennik „Hindu" swoje dokumenty emerytalne słonie odebrały z rąk ministra... trąbami. **(kż)**

Na mapie świata

NIEPODLEGŁOŚĆ DLA SAINT VINCENT

W sobotę, 27 października, na mapie świata pojawiło się nowe niepodlegle państwo. Jest to niewielka wysepka na Oceanie Atlantyckim w Archipelagu Małych Antyli, dawna posiadłość brytyjska wraz z przyległym do niej archipelagiem wysepek zwanych Grenadynami. Premierem pierwszego po uzyskaniu niepodległości rządu został Milton Cato.

Nowe państwo ma 389 km kw. powierzchni i liczy 133 tys. obywateli, z których większość to Murzyni i Mulaci. Działalność polityczną prowadzą dwie partie: Partia Pracy Saint Vincent oraz Ludowa Partia Polityczna. Istnieje także kilka związków zawodowych grupujących pracowników poszczególnych gałęzi gospodarki kraju.

Jej podstawą jest rolnictwo. Uprawia się bawełnę, kakao, banany, orzechy kokosowe, gałkę muszkatołową. Saint Vincent ma też – dość słabo zresztą – rozwinięte rybołówstwo, a także nieliczne zakłady przetwórcze. Głównymi towarami eksportowymi są owoce południowe, kopra i mączka skrobiowa.

Ale dochody płynące z eksportu są czterokrotnie niższe od sum potrzebnych na import towarów niezbędnych dla rozwoju kraju. Dlatego start do niepodległości nie jest łatwy, tym bardziej że kraj odczuwa jeszcze skutki niedawnego wybuchu wulkanu Soufriere. Lawa i popiół wulkaniczny pokryły znaczne obszary terenów uprawnych, co bardzo niekorzystnie odbiło się na gospodarce wyspy.

W sensie gospodarczym Saint Vincent jest więc kolejnym mini-państwem borykającym się z wielkimi trudnościami. Stan ten trwa już od dawna. Aby go przynajmniej częściowo przezwyciężyć, Saint Vincent stał się członkiem tzw. Karaibskiego Wspólnego Rynku, grupującego kilka krajów tego regionu świata. Pozwala to na uzyskiwanie pewnych sum potrzebnych dla łatania luk w budżecie państwa.

Wydaje się jednak, że przyszłość kraju leży w turystyce. Łagodny klimat, ciekawe i tajemnicze wyspy, piękne plaże i atrakcyjna przyroda, a także dość dogodne położenie geograficzne, przyciągają coraz więcej turystów. Wpływy z tej gałęzi gospodarki zwiększają się rokrocznie, stanowiąc coraz poważniejszą pozycję w budżecie kraju.

I na koniec słowo o najmłodszych mieszkańcach wyspy. Dzieci i młodzież zrzeszone są w kilku organizacjach, z których najprężniejszą jest organizacja skautowa. Już dzisiaj nie czekając na wezwanie ani na odezwy najmłodsi mieszkańcy wyspy przystąpili do jeszcze intensywniejszej nauki i pracy produkcyjnej. Wiedzą, że pracują dla swojej niepodległej ojczyzny, dla jej szybszego rozwoju. A wiele jest jeszcze do zrobienia.

Władze niepodległego państwa z uznaniem i nadzieją wypowiadają się o swoich młodych obywatelach. „Oni są naszą nadzieją" – powiedział w jednym ze swoich przemówień premier, pierwszego po uzyskaniu niepodległości rządu Saint Vincent – Milton Cato. (kż)

Myślenie o filmie

Jestem anarchistą w dziedzinie nauczania

– Panie Profesorze, nowy program szkolny przewiduje wprowadzenie do systematycznego nauczania wiedzy o filmie. Na ile zdaniem Pana jest to realne, kto powinien prowadzić takie zajęcia i w jaki sposób?

– Byłem u narodzin wielu koncepcji programów kształcenia młodzieży w dziedzinie filmu. Postulowała je początkowo propaganda, krytycy, garstka entuzjastów – młodych pracowników nauki i nauczyciele szkół średnich, przede wszystkim poloniści. W rzeczywistości idea systematycznego wprowadzania młodzieży w arkana filmu wzięła się z tego, że młodzi ludzie wprowadzają się w nie sami, niejako spontanicznie. Uczniowie chętniej chodzą do kina niż czytają lektury. Wydaje się, że szkoła powinna nad tym zapanować. Szczerze mówiąc, ja tym się nie zajmuję, mam syna w wieku szkolnym i wiem, że trudno do programu wtłoczyć jeszcze film. Zaczynam się też zastanawiać, czy ten film obowiązkowy nie przestanie być czymś spontanicznie odbieranym. Zresztą nie mam do końca przemyślanej tej sprawy. Traktuję wiedzę o filmie dosyć nie po szkolnemu; uważam, że raczej potrzebne są dyskusje z młodzieżą, a nie specjalne lekcje filmu. A nauczyciele lubią lekcje, porządek, program... Ja jestem w tej dziedzinie anarchistą.

– Nie wyobraża więc Pan sobie szkolnego podręcznika filmu? Pozostawia Pan tę rolę wyłącznie środkom masowego przekazu?

– Prawdopodobnie w tej sprawie mam zdanie nie całkowicie słuszne, ale podkreślam – nie jestem nauczycielem, nie czuję szkoły średniej. Wkucie się historii filmu, estetyki, nie ma według mnie sensu, ale z drugiej strony właśnie w ten sposób uczy się w szkole literatury, więc może taki podręcznik być powinien. Mogłyby być też zajęcia z wiedzy o filmie przy lekcji jęz. polskiego czy historii, a może szkolne kluby filmowe na zasadzie konserwatoriów? Nie wiem! Uważam natomiast, że wiedza o filmie jest konieczna na wyższej uczelni.

Na „Latarnię" spojrzenie wstecz

– Panie Profesorze, choć twierdzi Pan, iż filmowe problemy szkoły wydają się Panu osobiście dalekie, to „Latarnia Czarnoksięska" jest właśnie taką lekcją filmu przede wszystkim dla młodzieży szkolnej. Czy mógłby Pan opowiedzieć, jak zrodziła się jej idea i jakimi zasadami się Pan kieruje przygotowując kolejne programy?

– Zadała mi pani pytanie nieco krępujące: czego chcę nauczyć i czy progam „Latarni" robię według jakiegoś systemu. My, tzn. redaktorzy naczelnej redakcji programów filmowych i zaproszeni krytycy, mamy ideę, którą chcemy urzeczywistnić – ideę Telewizyjnej Akademii Filmowej. Ale muszą istnieć sposoby obcowania widza, systematycznego i mądrego obcowania bezpośrednio z dziełem, w kinie. Każdy człowiek w Polsce powinien mieć tę szansę. Po to właśnie są kluby filmowe, kina studyjne, gdzie kontakt ten nie ogranicza się do oglądania, ale ułatwiają go prelekcje, dyskusje.

– „Latarnia" jest więc forpocztą przyszłej Akademii?

– Tak, telewizja zaprosiła mnie i innych jeszcze, (choćby „Filmoteka Arcydzieł" – red. Fuksiewicza), abym się tym zajął. I pomyślałem w ten sposób: ktoś mówi: „nie rozumiem malarstwa współczesnego, jak się tego nauczyć?" – odpowiadam: „obejrzeć tysiąc i więcej wystaw i będzie pan wiedział co to jest malarstwo współczesne". Tak samo jest z filmem. Ogromna ilość utworów musi przejść po prostu przez głowę. A w oparciu o konkretny film trzeba dopiero mówić o reżyserach, aktorach, zastanawiać się co przeziera przez ten film, jak to się ma do innych sztuk. Dam przykład: adaptacje filmowe Dostojewskiego. A Dostojewski to XIX wiek w Rosji, a Dostojewski to zapowiedź psychologii głębi, to zapowiedź współczesnej literatury, a film współczesny jest zwierciadłem współczesności i antropologii, i kultury, i spraw społecznych, i politycznych, i mówi o obyczajowości codziennej, jest też więc lekcją bardzo szeroko rozumianej geografii.

Skąd się natomiast wzięła forma „Latarni"? Przez kilka lat do zeszłego roku wykładałem historię filmu w warszawskim klubie studenckim „Kwant". A właściwie ta myśl zrodziła się jeszcze wcześniej. Kiedyś Filmoteka Polska zaprosiła mnie na jubileuszowy wieczór poświęcony Karolowi Irzykowskiemu. Miałem opowiedzieć o jego teoriach i zastanawiałem się, co zrobić, by wypadło to atrakcyjnie. Postanowiłem to, co mówię ilustrować fragmentami filmów, na które autor ten powołuje się w książce „X muza". Bardzo się to podobało. I w „Kwancie" również, przy filmach niemych, a czasem i dźwiękowych, dodawałem komentarz jak należy patrzeć. W telewizji tego tak nie robię. Komentuję wcześniej, nie na obrazie, choć czasem może powinienem, ale nad tak ogromną widownią jak telewizyjna trudno zapanować.

Mówimy zresztą o przeszłości. Ostatnia „Latarnia" ukaże się w grudniu przed świętami. Ale w nowym roku będę prowadził inny program filmowy. Może będzie nosił właśnie tytuł „Gwiazdozbiór", bo cykl ten ma opowiadać o aktorach i postaciach filmowych.

– Nadszedł więc moment podsumowania... Czym była dla Pana „Latarnia"?

– „Latarnia Czarnoksięska" – to myślenie o filmie, tak jak wszystkie moje książki są myśleniem o filmie. Karol Irzykowski powiedział pisząc „X muzę": „Sprawiało mi satysfakcję myśleć o filmie". Mnie też sprawia satysfakcję myśleć o nim i mówić. „Latarnia" jest częściowo, co zauważa każdy widz improwizowana. Mam wprawdzie przemyślany cały program, ale zdarza się, że już w momencie, gdy oglądam jakiś fragment na monitorach, przychodzi mi myśl nowa. I wtedy zmieniam porządek myślenia i mówienia. Jest to myślenie, w którym zawsze uwzględniam historię, teorię i antropologię, i kulturę filmową, nie tylko zresztą, bo i całą kulturę współczesną, współczesne życie, aromat naszego czasu. Nie umiem inaczej. Systematyczność mnie męczy. Bez tego myślenia nie byłbym sobą i „Latarnia" nie byłaby sobą.

Pisarz w czapeczce krytyka

– Panie Profesorze, znamy dwie Pana twarze: poważnego krytyka i autora popularnych powieści. Czy mógłby Pan opowiedzieć czytelnikom o swojej pracy literackiej?

– Kiedyś mój starszy syn powiedział mi: „Nie daj Boże, żebym tyle dziedzin uprawiał co ty, przecież to zwariować można!" Jestem chyba rzeczywiście jednym z niewielu już ludzi, którzy zajmują się poważnie wieloma rzeczami: nauką, nauczaniem, krytyką i to nie tylko filmową, no i beletrystyką. Stale, mniej więcej raz w miesiącu, piszę dla „Życia Warszawy" szkice pt. „Życie kina". Pod tym samym tytułem przygotowałem teraz wybór moich tekstów krytycznych o filmie, od braci Lumiere, Méliès a – do filmów ostatnich lat. Jest to rodzaj historii filmu w krytycznych obrazach. W Wydawnictwie Literackim ukaże się też niedługo I tom „Teorii kina" – nie filmu, a kina jako zjawiska mniej artystycznego, a bardziej kulturowego. Natomiast pisanie beletrystyczne uprawiam równolegle. Film nie pociąga mnie zupełnie od strony tworzenia, ale moja beletrystyka utrzymana jest w duchu kina, w duchu kultury popularnej. Moje powieści są czytane i na nich, na ich odbiorze, sprawdzam dziedziny, którymi się zajmuję jako krytyk – kulturę masową.

Kiedy piszę powieść, traktuję to bardzo poważnie. Zawsze pracuję bardzo poważnie. Wszystkie moje prace podbudowane są rozległymi studiami, lekturami, notatkami. Szalenie skrupulatnie pracuję nad tekstem. Natomiast kiedy jestem w czapeczce krytyka i pracownika nauki – te książki nie pociągają mnie. Tak samo jako widz z przyjemnością oglądam westerny, a jako krytyk wolę grzebać się w męczących filmach Antonioniego. Powieści – to twórczość świąteczna, którą uprawiam na marginesach mojego czasu. W tej chwili powstają dwie moje książki. Są psychologiczne, romantyczne i romansowe. Jedna z nich będzie nosiła tytuł „Starsza pani nie chce umierać". Jej bohaterką jest wybitna dziennikarka francuskiego radia i TV (za model posłużyła mi jedna z moich paryskich przyjaciółek), a druga, której akcja dziać się będzie w Brazylii, ma się nazywać „Żigolo", a może „Zatoka Wszystkich Świętych".

– A życie pozazawodowe? Czy ma Pan w ogóle na nie czas?

– Mam bardzo niewiele wolnego czasu, bo nie mam ustalonych godzin pracy. Wypełniają go całkowicie zajęcia naukowe w Instytucie Sztuki, wykłady w uniwersytecie, konieczne spotkania, no i pisanie. Piszę tylko rano. Po południu natomiast jakby się nasycam, by uzupełnić tę energię, którą wydatkowałem rano: lektury naukowe, notatki... O wolnym czasie mogę mówić, kiedy wyjeżdżam za granicę. Tam siedzę w bibliotekach i filmotekach, ale jestem wówczas bez rodziny i dodatkowych obowiązków. Wtedy zwiedzam. Najprzyjemniejszą dla mnie rzeczą są wystawy plastyczne. Ja z Luwru czy Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu nie wychodzę... Nawet w Sztokholmie, gdzie nie ma zbyt bogatych kolekcji malarskich, wynalazłem sobie kilka interesujących płócien Rubensa i spędziłem przy nich wiele godzin. W Warszwie nie mam na to czasu. Moje najprzyjemniejsze chwile to również te, które spędzam za kierownicą. Lubię prowadzić samochód. Mam to chyba po ojcu, który był amatorem-rajdowcem...

– Dziękujemy za rozmowę i życzymy Panu „szerokiej drogi" w każdej z uprawianych dziedzin.

Rozmawiała EWA BIELSKA
Fot. **Romuald Pieńkowski**

Safari u Sanguszków

Safari – pochodzi z języka kiswahili i oznacza w Afryce Wschodniej podróż z tragarzami, wyprawę wojenną. Safari to także polowanie na grubego zwierza w tajemniczym buszu.. Safari – to wreszcie – rajd samochodowy po bezdrożach afrykańskiej sawanny, gdzie najwspanialsi mężczyźni szaleją na swych nie mniej wspaniałych maszynach; a wielu z nich za największy sukces uważa szczęśliwe dotarcie do mety. W rajdzie biorą udział tylko najlepsi. Innym pozostają... relacje bohaterów i marzenia. Chociaż nie! Za jedyne 60 zł wpisowego i 120 zł składki mogą należeć do Automobilklubu Warszawskiego. By na własnym (niestety) sprzęcie szaleć np. w Rajdzie Monte Calvaria, różnych imprezach sportowych i turystycznych. A jeśli rodzice i szkoła wyrażają zgodę, do automobilklubu mogą się zapisać już osoby szesnastoletnie. Sekcja młodych skupia obecnie kilkudziesięciu zapaleńców, którzy głównie pomagają przy organizowaniu rozlicznych imprez. I chwała Automobilklubowi za to! Niestety niektóre posunięcia tej organizacji są mniej chwalebne. Ostatnio Automobilklub Warszawski postanowił urządzić swoiste safari. W tym polowaniu głównym łupem miał się stać dawny pałacyk Sanguszków przy ul. Solec 37. Na ten pałacyk, świetnie usytuowany w pobliżu Wisły, na skraju największego warszawskiego parku już dawno mieli chętkę inni; przykład – dyrekcja żeglugi. Szkopuł w tym, że od 20 lat mieści się tu przedszkole. Nie dla wszystkich było to jednak istotną przeszkodą. W październiku dyrektorka usłyszała od przedstawiciela Biura Kontroli – jesteście sprzedani. Pałacyk będzie przekazany na potrzeby Automobilklubu Warszawskiego. Dyrektorka zastanawia się teraz: kiedy? dokąd się przeprowadzą? W przedszkolu jest 150 dzieci. Każda z czterech grup wiekowych ma do swojej dyspozycji 2 połączone pomieszczenia, ładne mebelki, dużo zabawek. Dobrze wyposażona w pomoce jest sala dla 33 sześciolatków, które tu zaczynają edukację w klasie zerowej. Obok przedszkola – ogrodzony, rozległy plac zabaw. W zasięgu ręki – Centralny Park Kultury i Wypoczynku. Czy można wyobrazić sobie lepsze usytuowanie dla przedszkola? Jest ono jedną z sześciu placówek wychowania przedszkolnego na terenie Powiśla. W sumie w tych przedszkolach przeznaczonych na 445 dzieci jest ich ponad 600. A w latach 1980–90 zapotrzebowanie wzrośnie do 1000 miejsc. Nie będzie ono zaspokojone. Jak się dowiedziałam w Wydziale Oświaty Urzędu Dzielnicowego Warszawa-Śródmieście, w niedalekiej przyszłości przedszkola: nr 6 i 115 mają być przekazane Muzeum Narodowemu; a w zamian powstanie tylko jedno przedszkole przy ul. Koźmińskiej, co niestety nie zwiększy liczby miejsc.

Opisywane tu przedszkole nr 173 jest istnym rajem dla swych użytkowników, w porównaniu na przykład z placówką nr 251, która mieści się w bloku mieszkalnym i nie ma żadnego placu zabaw, czy z placówką nr 112, gdzie brak centralnego ogrzewania. Wiadomo, że wszystkie przedszkola, zresztą nie tylko w tej dzielnicy, są przepełnione i dodanie do nich obecnych użytkowników pałacyku Sanguszków jest wręcz niemożliwe. Rodzice są zaniepokojeni, interweniują. W liście do Zespołu Poselskiego piszą: „(...) Przeciwko likwidacji tak bardzo potrzebnej placówki, jaką jest przedszkole na rzecz instytucji drugorzędnej, Automobilklubu – stanowczo protestujemy."

Rodzice są rozgoryczeni, dzieci na razie chodzą do przedszkola, jakby nigdy nic i może nie zdają sobie nawet sprawy, że polowanie na ich pałacyk jeszcze nie jest zakończone. Safari trwa.

ANNA PACIOREK

REPORTER Świata Młodych

„REPORTAŻ Z WCZORAJ"

Witam Was!

I od razu dziękuję za wszystkie korespondencje, które nadesłaliście w związku z poprzednim hasłem – „Uczciwość". Przyszło prac bardzo wiele; najlepsze z nich są już drukowane. Nie znaczy to oczywiście, że nic im nie można zarzucić. Są to jednak korespondencje dosyć poprawnie napisane, a co najważniejsze – zawierające ciekawy sposób spojrzenia na sprawy, które mają miejsce w Waszej klasie czy domu. Często było tak, że pisaliście o tej samej sprawie, dlatego musiałem dokonywać wyboru. Brałem wtedy pod uwagę sposób skonstruowania i oryginalność kompozycji całego materiału. Ogólnie, ten pierwszy powakacyjny sprawdzian wypadł dobrze. Bardzo się z tego cieszę.

Wszyscy, którzy są zainteresowani działalnością naszej Ligi Reporterów, proszeni są o uważne studiowanie drukowanych korespondencji. Można się z nich także czegoś nauczyć. **Przypominam, że ci, których prace zostaną wydrukowane trzykrotnie, otrzymają znaczek „Ligowca".**

A teraz nowe zadanie dla Was. Hasło wywoławcze brzmi: **„REPORTAŻ Z WCZORAJ"**. Zanim jednak usiądziesz do pisania, zastanów się przez chwilę, co ciekawego zdarzyło się wczorajszego dnia? Coś takiego, o czym warto, żeby i inni wiedzieli. Gdzie byłeś; a może Cię coś zdenerwowało – dlaczego? O czym rozmawialiście na przerwie, albo na zbiórce? A może pokłóciłeś się z kolegą? Dlaczego, o co? Nie musicie ściśle trzymać się terminu „wczoraj". Zwłaszcza jeśli jest to sprawa najbliższych minionych dni. Tematów nie powinno zabraknąć. Trzeba tylko umieć wnikliwie patrzeć. W pisaniu artykułu ważne jest nie tylko samo przedstawienie jakiejś sprawy. Istotniejszy jest Wasz komentarz. Co o tym myślicie, jaki jest Wasz stosunek do zaistniałej sytuacji. Myślę, że wskazówki te, które Wam dałem są wystarczające. Reszta zależy od Waszej pomysłowości.

Na koniec chciałem poruszyć pewną sprawę, która uderzyła mnie podczas lektury Waszych korespondencji. Wielu z Was prosi o niepublikowanie imienia i nazwiska. Jest to zrozumiałe, kiedy piszecie o sprawach drażliwych, mogących przynieść przykre dla Was konsekwencje. W momencie jednak, kiedy piszecie o sprawach bardziej „ogólnych", nie ma sensu – wydaje mi się – ukrywanie się pod coraz to przedziwniejszymi pseudonimami. Jako dziennikarze, bo w takiej roli występujecie, musicie brać pełną odpowiedzialność za pisane słowo. Tak więc, zanim podpiszecie się pseudonimem, pomyślcie czy jest to konieczne. To tyle z uwag.

Jeszcze raz przypominam. Hasło nasze brzmi: **„REPORTAŻ Z WCZORAJ"**. Nie zapomnijcie napisać go na kopercie! Myślę, że poradzicie sobie z tym zadaniem równie dobrze, jak z poprzednim.

Pozdrawiam Was

SZEF

LIGI REPORTERÓW

„Kujemy ciągle, psze pani..."

Wszystko można było mi zarzucić. To, że jestem bałaganiara, niepoważna, kłótliwa i w ogóle, dobry charakterek... Ale że jestem nieuczciwa?

Gdyby jeszcze wczoraj ktoś powiedział mi: „Wiesz, Kaśka, ty jesteś nieuczciwa" – poradziłabym mu zgłosić się do psychiatry. Jeszcze wczoraj – piszę – bo dziś doszło do mnie, że z tą moją uczciwością jest coś nie tak.

Ale zacznijmy od początku. Patrycja to najfajniejsza dziewczyna z naszej klasy i zarazem moja przyjaciółka. Dzieliłam z nią wszystko, z wyjątkiem... ławki. Bo Patrycję los obdarzył nie tylko oryginalnym imieniem, ale i 170 z nadwyżką centymetrami wzrostu. Przy moich 155 było to ogromem. Patrycja siedziała więc przy ostatnim stoliku, ja, ku zgrozie, w pierwszym, z Magdą. Nie było mi nawet tam najgorzej.

Magda to całkiem fajna dziewczyna. Właściwie nie wiedziałam o niej wiele. Do naszej klasy przeniesiono ją z „a" rok temu, nie wiadomo zresztą dlaczego. Była zgrabna, podczytywała pod ławkami jakieś tam „kluczyki", „jamniki" i inne kryminały, genialnie odpowiadała z historii i była absolutnym antytalentem z matmy. Co do tego przekonała w ciągu kilku tygodni klasę i siebie. („A bo wiecie, matmy to mnie nikt za Chiny nie nauczy..."). Próbowała też przekonać matematyczkę, co nie dało żadnych efektów. Matematyczka była młodziutka, pierwszy rok uczyła, pełna wiary w swoich uczniów. Wmówiła w Magdę, że się matmy nauczy i poprawi te wszystkie (a dużo ich było!) dwóje; choćby na tróję z minusami, ale poprawi. A żeby Magdzie smutno nie było, to ja miałam jej pomagać. Nie wiem czemu, bo pedagogicznych talentów to ja w sobie nie dostrzegałam. Zdecydowała prawdopodobnie ta wspólna ławka.

W parę dni później siedziałam w „chacie" Magdy i próbowałam jej wbić w łeb jakieś tam matematyczne twierdzenie. Godzinę później doszłyśmy do wniosku, że: 1. pedagogiem to ja nie będę, 2. Magda ma rzeczywiście antymatematyczną głowę, 3. nie ma sensu o tym mówić matematyczce, 4. coś trzeba zrobić, ale co?

Rano Magda spisała z mojego zeszytu zadanie i spokojnie klapnęłyśmy na ławkę. Po południu pognałyśmy do Patrycji, wyraziłyśmy głęboką wiarę w jej talent i w to, że wytłumaczy Magdzie matmę... i w trójkę, a właściwie w czwórkę, bo z Jarkiem, bratem Patrycji, obejrzałyśmy kapitalny western. „Gwiazda południa" nie miała w sobie nic z matmy, ale miło się to oglądało. Dzień po dniu Magda przychodziła do budy z mętlikiem w głowie i odrobionym zadaniem (a jakże, to mogłam dla niej zrobić). Matematyczka sprawdzała zadania, chwaliła pilną uczennicę i wytrwałą „nauczycielkę". Magda i ja gorąco zapewniałyśmy, że „to liczyła Magda" – „a Kaśka mi pomagała". – „A to sama..."

Mijał dzień za dniem, aż w końcu zapowiedziano klasówkę. Generalną. Z obłędem w oczach rzuciłyśmy się z Magdą na sterty podręczników, notatek, zeszytów. Nic z tego. Bez rezultatów. Gdy zadzwonił dzwonek na pamiętną matmę, nie miałyśmy żadnych absolutnie złudzeń. I...

Magda byłaby napisała na pałę, co było jasne. Ja miałam w głowie potworny zamęt. Uratował nas dyrcio, który wspaniałomyślnie wezwał matematyczkę do telefonu. Magda podczas kilkunastu minut nieobecności nauczycielki w klasie przepisała doskonale, błogosławiąc rozmówcę matematyczki.

Dostała autentyczną piątkę. „Matmiara" rozpływała się w zachwytach nad jej pilnością i moją koleżeńskością. Magda przytakuje: „Kułyśmy ciągle, psze pani. Kaśka, ona... Tak, ona świetnie tłumaczy" i tym podobne brednie. A ja? – Przekonałam się, że nie jestem uczciwa. Wobec Magdy, matematyczki i wobec siebie. I klnę świat. Siebie też.

Grażyna Bartoszek

Bariera

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

– Ewa, znasz mnie nie pierwszy rok. Czy ja kiedykolwiek karałam za przyznanie się do winy?

Milczenie.

– Przecież wiemy obie, że to ty w miejsce dwójki wpisałaś piątkę, prawda? Dlaczego to zrobiłaś?

– ... To nie ja...

– No jak to? Przecież miałaś dwójkę, a nagle na jej miejscu znalazła się piątka. Skąd ona się tam wzięła?

– Nie wiem...

– Czy byłaś wtedy nieprzygotowana?

– Tak, ale... to dlatego, że... mama posprzeczała się z ojcem i ja nie mogłam... nie spałam wtedy całą noc, bałam się tej matmy...

– No, ale wiesz, że gdybyś się nauczyła to tej dwójki nie byłoby w dzienniku.

– Ja nie mogłam, naprawdę...

„Czego ona ode mnie chce. Przecież wie doskonale, że to ja wpisałam tę piątkę. Dlaczego tak bardzo zależy jej, żebym powiedziała „tak, to ja". Czy ona wie chociaż jak ja się strasznie bałam? Czy wie, że jednak z tych dwóch obaw – przed ojcem i przed nią – bardziej bałam się ojca. Jego wrzasku, poszturchiwań, wymówek, że nieuk, że do niczego nie dojdę. Nie chciałam wpisać tego stopnia, ale to było jedyne wyjście. Jedyne, choć i tak złe. Wiedziałam o tym jeszcze zanim wpisałam ten stopień, i jak to robiłam, i teraz – ale czy ona to zrozumie?"

– I nagle na miejscu tej dwójki zjawia się piątka; skąd?

– ... nie wiem...

– Ewa, zaczynamy wszystko od początku. Proszę cię, przyznaj się, będzie dużo lepiej.

– Ja... nie mogłam mieć trójki na okres, w domu byłoby piekło, następna awantura z ojcem. On w ogóle nie uznaje nawet trójki. A co by było gdyby zobaczył dwójkę!

– Wiesz w takim razie, jaką przykrość sprawiłaby im wiadomość, że sama wpisałaś stopień.

– ... proszę im nic nie mówić...

„O co chodzi tej dziewczynie? Chcę jej przecież pomóc. Obydwie wiemy, że to ona zrobiła. Czy tak trudno przyznać się do popełnionego błędu? Szuka usprawiedliwień, a ja ich wcale nie chcę. Znam Ewę od lat, nigdy bym się tego po niej nie spodziewała. Taka dobra uczennica. Co się z nią dzieje? Dlaczego nie chce się przyznać? Powiedziałaby: „zrobiłam źle" i sprawę można byłoby uznać za zakończoną".

– Ewa, nie chciałabym przedłużać tej rozmowy w nieskończoność. Jest ona przykra, i dla mnie, i dla ciebie. Powiedz, może ktoś cię namawiał do wpisania tego stopnia.

– Nie.

– A czy ktoś z klasy o tym wiedział? Twoja przyjaciółka?

– Która?

– No, Hania. Chyba Hania jest twoją przyjaciółką, czy może się pomyliłam?

– Nie, Hania nie jest moją przyjaciółką. Ja nie mam...

– Czyli, że zrobiłaś to w zupełnej tajemnicy?

„Ona nic nie rozumie. Po prostu nie przyjmuje do wiadomości tego, o czym próbuję jej powiedzieć. No bo w końcu co ją to obchodzi? Przychodzi tu do nas, ma pewnie swoje kłopoty. A te trudności z nami to jeszcze dodatkowy balast. Przecież w gruncie rzeczy ona w ogóle nie wie co dzieje się w klasie, kto z kim chodzi, przyjaźni się albo kłóci. My dobrze wiemy czego od nas oczekuje. Teraz ona chce, żebym powiedziała, że to ja, i że żałuję. I uzna wszystko za skończone. A to powinien być dla niej początek. Dlaczego nie chce ustąpić?"

– Na razie wiemy tylko ja, ty i profesor od matematyki. Chyba widzisz, że nie ma sensu ukrywanie tego, co się stało.

– Ja niczego nie ukrywam...

– No jak to? Nie masz nawet na tyle cywilnej odwagi, żeby powiedzieć „tak, pani profesor, zrobiłam to, bardzo żałuję". No sama przyznasz, że nie masz na tyle odwagi.

– Nie mam.

– Ewa, ja naprawdę nie wiem, jak do ciebie trafić. Staram się zrozumieć, a ty mi nie chcesz pomóc.

„Czemu ona jest taka uparta? Ja jej inaczej nie potrafię pomóc. Musi przeprosić matematyka, bo będzie wściekły. Powie, że mnie klasa nie interesuje, że nie podejmuję „zabiegów wychowawczych". A ja nie mam z nimi raczej większych kłopotów. Wydawało mi się, że umiem do nich trafić. O Boże, co za koszmarna rozmowa z tą dziewczyną. Mówi, że mam jej pomóc. Dobrze, ale jak? Ja widzę tylko jedno wyjście".

– Ja ci mogę pomóc tylko tak. Chcę, żebyś przyznała się do winy, znajdziemy wspólnie jakieś rozwiązanie. Wtedy zapomnimy o tej całej sprawie.

– ...Ja tego bardzo żałuję, ale to było jedyne wyjście...

– No trudno, stało się źle, ale tego już nie da się cofnąć. Daję ci dwa dni na zastanowienie jak załatwisz tę sprawę z profesorem. Potem przyjdź do mnie, dobrze?

„Tak. Zostawiła mnie samą, bo to było najprostsze. Dla niej ta sprawa w tej chwili jest już zamknięta. Nie ma po niej śladu. Następny „kłopot wychowawczy" z głowy. Niczego więcej o mnie nie dowiedziała się, prócz tego, że jestem nieuczciwa. Nie chciała, albo nie umiała mnie uważnie słuchać? No nic, trudno. Widocznie nie da się pokonać tej bariery..."

ANNA CHEŃSKA

BABSKA POLITYKA

Harcerski Klub w Rybniku

W niewielkiej harcówce na szkolnym poddaszu rozkładają książki, gazety, słowniki, statystyczne tabele, geograficzne atlasy i rozpoczyna się... „babskie politykowanie". Kilkanaście dziewczyn żywo dyskutuje o ostatnich wydarzeniach na świecie, wertuje specjalistyczne opracowania. Przygotowana herbata stygnie, w przeciwieństwie do atmosfery takich rozmów, które niejednokrotnie, szczególnie gdy brak jednomyślności w poglądach, powodują ostre starcia. Wtedy do akcji wkracza energiczna Marianna Fajtutin, która niczym wytrawny dyplomata rozdziela i godzi zwaśnione obozy i stronnictwa.

Harcerski Klub Wiedzy Społeczno-Politycznej w Rybnickim Zespole Szkół Ekonomiczno-Usługowych – o którym właśnie mowa – zdobył już dobrą markę. Utarło się, że polityka to męska sprawa i tylko panowie są upoważnieni do głośnego wyrażania swych opinii i poglądów, że są niejako powołani na wodzów, polityków i dyplomatów. A przecież świat od zarania swych dziejów po współczesność zna wiele przykładów sprawnie przewodzących narodom kobiet. Nie wiadomo czy ten fakt zadecydował o powstaniu klubu. Wiadomo, że o ważnych sprawach współczesnego świata i kraju, często się dyskutuje w tej „rzeczpospolitej babskiej" – jak niektórzy nazywają szkołę, a to dlatego, że wśród ośmiuset uczniów jest zaledwie pięciu chłopców.

Marianna jest szefową klubu. Teraz, w trzeciej klasie Liceum Ekonomicznego, nauki jest sporo i trzeba tym podstawowym obowiązkom poświęcać dużo czasu, tym bardziej że matura tuż. tuż...

Jednak pozostaje jeszcze tyle czasu, aby prowadzić klub, i to dobrze prowadzić. Ażeby spotkanie było interesujące, należy przygotować się jak najstaranniej: wybrać ciekawy i atrakcyjny temat, zdobyć jak najwięcej wiadomości, przygotować dodatkowe materiały...

Na klubowe spotkania przychodzi teraz wielu chętnych. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim dziewczyny w szkole przekonały się, że oprócz ciuchów i dyskoteki są także inne, ciekawe zajęcia. Prawie już zapomniano w szkole, że kiedyś wyśmiewano pionierskie poczynania klubu. Pierwsze, drugie i trzecie spotkanie szło opornie, niewielu było chętnych do dyskusji. Teraz, gdy na świecie dzieje się coś ciekawego, „baby politykują" nie tylko na spotkaniach w klubie, również na przerwach, w stołówce, a obowiązkowe lekcje wychowania obywatelskiego w niczym nie przypominają poprzednich, trzykwadransowych „młócek" – jak niektórzy określali te zajęcia. Coraz więcej jest uczestników corocznej Olimpiady Wiedzy o Polsce i Świecie Współczesnym, zajmują coraz wyższe lokaty w mieście, województwie i kraju...

Jeśli ktoś w tym momencie pomyśli, że w rybnickiej szkole mówi się tylko o wielkiej polityce, to należy go jak najszybciej wyprowadzić z błędu. Jak wszędzie, najważniejsze są sprawy środowiska, dziewczęta żywo interesują się tym, co dzieje się wokoło. I bardzo często od spraw burzliwych przewrotów w Afryce i bliskowschodnich wydarzeń, przechodzi się do problemów własnych, szkoły, dzielnicy, miasta... Teraz w trakcie młodzieżowej kampanii przedzjazdowej, najwięcej mówi się o sobie, jak osiągać lepsze wyniki w nauce, co jeszcze trzeba zrobić w szkole i własnej organizacji. I jest też czas na zwykłe rozmowy o aktualnej modzie, ostatnio obejrzanym filmie, o sobotniej zabawie, nowych spotkaniach i sympatiach... ot, „babska polityka". **(dk)**

Fot. **Z. Bisanz**

REDAKCYJNA POCZTA

Jak się przekonać

Podczas wakacji spotykaliśmy się codziennie – było nam dobrze. Na dyskotekach bawiliśmy się razem. Na zakończenie turnusu, krótka wymiana adresów i obyło się bez jakichkolwiek rozgoryczeń. Jednym słowem było bombowo.

Po powrocie do domu, korespondowałam z nim. Skończyły się wakacje, minęły wakacyjne przeżycia, przyjemności, zaczął się normalny rok pracy i nauki. W ostatnim swoim liście napisał mi, że na początku roku przyjeżdża do Bydgoszczy, aby załatwić sobie internat. Wyszłam po niego na dworzec. I tu się to zaczęło. Zauważyłam, że się zmienił. Był zupełnie inny tam, a inny tu. Całkiem inaczej go sobie wyobrażałam. Tak jakby minął urok tamtych dni, minęło to, co zostało jeszcze w mojej pamięci. Co się stało? Nie wiem! Był już u mnie w domu kilka razy, ale nasze rozmowy nie są takie jak w czasie wakacji. To wszystko tak mnie nurtuje, że nie wiem co mam ze sobą zrobić. Mama niejednokrotnie pytała mnie czy on mi się podoba, „czy coś do niego czuję" a ja nie wiem, nie wiem czy to miłość, czy być może tylko głęboka przyjaźń lub sympatia! Jak mam się przekonać o tym?

„Zrozpaczona śpiewaczka"

Marzena Stronka, lat 14, zbiera fotosy aktorów i piosenkarzy, ma sporo wiadomości na ten temat. Chętnie się tymi wiadomościami podzieli. Ogromnie lubi pisać listy. Adres: ul. Chopina 22c/33; 64-340 Grodzisk Wlkp.

Z okularami przez świat

Listem moim pragnę pocieszyć „okularników", a zarazem przestrzec przezywających te osoby. Otóż sama noszę okulary i mam z tego powodu także przykre doświadczenia. Dwie koleżanki z klasy pokłóciły się ze mną bardzo dawno temu. Oczywiście przezywały mnie: „okularnica". Teraz obydwie noszą okulary.

Na pocieszenie noszącym okulary dodam, że właśnie przeczytałam w pewnej gazecie, że nasze „drugie oczy" są modne! Nie rozpaczajcie więc z tego powodu i docinki kolegów i koleżanek lekceważcie. Głowa „z binoklami" do góry!

Renia

UWAGA, Jola z Dubienki! Nie możemy Ci pomóc nie znając Twojego dokładnego adresu.

Brak mi pomysłów

W tym roku zostałam zastępową dziewcząt z klas IV i VI. Dziewczyny są bardzo niechętne. Nie mam pomysłów na zbiórki. Wszystko co miałam zaplanowane – prysło. Zwracam się za Twoim pośrednictwem do zastępowych. Może oni znają jakieś ciekawe gry, imprezy. Bardzo chciałabym być dobrą zastępową lecz brak mi pomysłów. Tych, którzy chcieliby mi pomóc proszę o listy pod adres:

Anna Zander, ul. Karpia 56/58 m 1 bl. 23, 93-155 Łódź

Widmo rekordomanii

Szkolne Kluby Sportowe. Dla jednych hasło bez pokrycia, dla drugich życiowa pasja. O SKS-ach mówi się wiele. Specjalne komisje sprawdzają ich działalność, szukają przyczyn ewentualnych niepowodzeń, wynagradzają za dobre wyniki. A czym właściwie powinien być SKS? Jaka jest jego rola w szkole? Na te i inne pytania odpowiedzi udziela WOJTEK LASOTA, przewodniczący klubu istniejącego przy Szkole Podstawowej nr 3 w Opocznie. Prowadzony przez niego SKS cieszy się wzorową opinią.

Jak można prowadzić zajęcia w tak ogromnym tłoku?

Pani Leokadia Synowiec, nauczycielka wf w Szkole Podstawowej nr 3 w Opocznie i Wojtek Lasota, przewodniczący SKS, zawsze mają sobie wiele do powiedzenia

– Nie znajdzie pan u nas recepty na dobre prowadzenie szkolnego klubu. Przynajmniej ja nie potrafię jej dać. Ja i chyba nikt. Choć założenia i regulaminy są jednakowe, każdy SKS jest inny. Inni ludzie w nim pracują, inne mają zainteresowania i plany, wreszcie inne możliwości realizowania owych planów...

– To uogólnienie. Nie chodzi zresztą o receptę. Powiedz raczej, co decyduje o sukcesach twojego klubu.

– Istnieje już ładnych parę lat. Jego dorobek jest spory. Nie wolno go jednak mierzyć jedną miarą. Przecież osiągnięcia szkolnej reprezentacji w minisiatkówce (II miejsce w kraju), piłkarzy nożnych (podpora miejscowego klubu „Opoczynianka"), lekkoatletów (czołówka wojewódzka) wyłącznie na konto SKS zaliczane być nie mogą. Zresztą po kilku mistrzów, rekordzistów, niemal wszędzie można znaleźć. A jeżeli nie ma ich aktualnie – znajdą się po wnikliwej selekcji i kilkunastomiesięcznych treningach. Tego rodzaju sport nie może być, moim zdaniem, jedyną wizytówką szkoły, jej klubu.

– Skonkretyzujmy pytanie. Co według ciebie stanowi wizytówkę twojego SKS?

– Skupia on 70 członków. Niewiele w stosunku do liczby uczniów w szkole. Ale muszę powiedzieć, że na zajęcia klubu przychodzą dosłownie wszyscy. I nikt nikomu nie wzbrania wejścia na salę gimnastyczną, boisko. U nas prawie każdy czuje potrzebę sportowego wyżycia się. I to jest właśnie duma i sukces SKS. Na mecze nauczyciele kontra uczniowie przybywają nawet pierwszaki. A jak kibicują! Zresztą i dla nich organizujemy specjalne turnieje. Nie czują się więc pokrzywdzeni i – co ważniejsze – już od pierwszych dni pobytu w szkole przechodzą sportową edukację. Zajęcie się maluchami to również obowiązek koła...

– Słyszałem, że nie posiadacie legitymacji członkowskich.

– I cóż z tego? Legitymacja nie stanowi moim zdaniem o niczym. Znam wiele SKS-ów, gdzie każdy posiada ów dokument, a nie bardzo nawet wie co znaczy skrót SZS. A skoro jesteśmy przy dokumentach – prowadzenie wszystkich wymaganych dzienników, ewidencji, kronik, pisanie sprawozdań zabiera stanowczo zbyt wiele czasu. Kto to wymyślił i komu to potrzebne?!

– Ale chyba się zgadzasz, że tam, gdzie istnieje dobrze pracujący klub, musi być dobrze prowadzona dokumentacja. Jedno drugiego nie może wykluczać. Tak jak wyczyn nie wyklucza masowości.

– Zgoda, ale nie jestem przekonany o preferowaniu w szkole, w SKS wygórowanych wyników, wysokiego poziomu poszczególnych dyscyplin. Widmo rekordomanii przesłania najczęściej właściwy cel pracy klubów – powszechność sportu. W dalszym ciągu SKS rozlicza się na podstawie liczby finalistów na wojewódzkim przynajmniej szczeblu.

– Jesteś najlepszym lekkoatletą szkoły w wieloboju szybkościowym, plasujesz się na trzeciej pozycji w województwie. Czy sądzisz, że wyniki z boiska mogą rzutować na twoją pozycję przewodniczącego klubu?

– Uważam, że dobry szef SKS nie musi być wcale dobrym zawodnikiem. Powinien być na pewno niezłym organizatorem sportowych imprez. Ważna jest też umiejętność odpowiedniej współpracy z samorządem koła, nauczycielami wf. I nigdy nie wolno ograniczać się wyłącznie do wydawania poleceń.

– A współpraca z innymi klubami, a umiejętność znalezienia sojuszników spoza szkoły...

– Każdy ma swoje problemy, których własnymi siłami nie rozwiąże. Widział pan naszą salę gimnastyczną. W przeciętnym kurniku luźniej! Mamy więc pilną potrzebę budowy sali tzw. zielonej. Sami niewiele zdziałamy. Na szczęście posiadamy wypróbowanego przyjaciela. Jest nim miejscowy zakład produkujący ceramiczne płytki. Jego dyrektor naczelny, pan Józef Grochot, już od dawna myśli jak nam pomóc. Wierzę, że wkrótce doczekamy się zielonej sali z prawdziwego zdarzenia.

– Na zakończenie powiedz, o czym marzysz jako przewodniczący SKS i czego życzysz piastującym identyczne stanowiska kolegom.

– Nie mam wygórowanych pragnień. Wciąż myślę jednak o dobrym następcy; za kilka miesięcy kończę przecież „podstawówkę". Marzę o przestronnej hali gimnastycznej, o pięknym stadionie. Własnymi rękoma zrobiliśmy już odpowiedni wykop pod plac gier. Teraz, w ramach rozbudowy szkoły, fachowcy muszą wykonać drenaż. Kiedy się do tego wezmą – trudno przewidzieć. Czego życzę kolegom po fachu? Tak dobrej atmosfery do prowadzenia sportowej roboty, jaka jest w mojej szkole.

Rozmawiał
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. autora

TAKA SOBIE ZWYKŁA HISTORIA

– Pewnie, wtedy chciałabym tu wrócić. Obeszłabym sobie wszystkie stare kąty i fajnie. Parę dziewczyn pękłoby z zazdrości. Dobrze im tak. Estrada to jest estrada, nie takie byle co, jak ta buda. Pieniądze, stroje, powodzenie – wszystko. Wiem, że do śpiewania trzeba mieć talent. Ale ja mam, proszę zapytać, kogo pan zechce. I to kiedyś wyjdzie na jaw! Zawsze sobie śpiewałam czy nuciłam, nawet w pokoju dyżurów, jak nikogo nie było. I to ludzi denerwuje, mówią, że zadzieram nosa. Pewnie, noszę go może trochę wyżej jak każdy człowiek, który ma w sobie coś dobrego. Czy to wstyd? To niech pan wytłumaczy tym, co się na mnie uwzięli. A uwzięli się ostro: w szkole, na stancji, na tych zabawach, gdzie mnie najczęściej proszą do tańca. Czasem mam tego tak dosyć, że rzuciłabym wszystko i uciekła już zaraz. Wstrzymuję się – wiem, że papier, to znaczy świadectwo, też się w życiu przydaje. Bez tego dzisiaj ani rusz.

Smutek

Tarnów z końca października: na ulicach pierwsze kożuchy, pośpiech prawdziwie wielkomiejski. Większa niż gdzie indziej liczba dziewcząt i młodych kobiet. Pora - jest poobiednia; skończyły zajęcia szkoły, także ta przygotowująca do zawodu przyszłe pielęgniarki. Sporo twarzy trochę posmutniałych. To zresztą dziwna rzecz: sposobiące się do zawodu, jakby na stałe przypisanego do uśmiechu dziewczyny bardzo szybko stają się poważne, odrobinę wyniosłe. „Lekcje, zajęcia praktyczne, znów lekcje – to wyczerpuje, człowiekowi odechciewa się śmiechu". A jednak...

W Tarnowie stary problem znany z innych, obfitujących w szkoły miast: internaty szkół pielęgniarskich nie są w stanie pomieścić wszystkich kandydatek do białego czepka. Pozostają stancje prywatne. Ich jakość i ceny

DZIECI z himalajskiej wioski

Tekst i zdjęcia:
MAREK MALINOWSKI

Po czterech dniach karawany dotarliśmy do Darczy. To ostatnia cywilizowana miejscowość na naszej drodze w góry.

W Darczy rozbiliśmy się w widłach rzeki, na pięknej zielonej łące tuż koło mostu. Od razu otoczyli nas mieszkańcy wioski. Większość stanowiły oczywiście dzieci. Ciekawiło je wszystko – nasze bagaże, plecaki, maszynki do gotowania, aparaty fotograficzne. Ale nie bardzo chciały się fotografować. Może to boli?... Poprosiłem skośnookiego urwisa, aby popatrzył przez matówkę aparatu na swoich kolegów. Okrzyk zdziwienia i po chwili otoczył mnie tłum malców. Wszyscy chcieli zobaczyć. Pierwsze lody zostały przełamane. Fotografowałem teraz wszystkich po kolei. Dzieci same stawały przed obiektywem, prezentując swoje kolczyki, naszyjniki-amulety. Niektóre dźwigały na plecach młodszych braci lub siostry, inne niosły właśnie do domu wiązki drewna uzbieranego na odległych zboczach. W Indiach dzieci od najmłodszych lat pomagają rodzicom opiekując się młodszym rodzeństwem i wykonując lżejsze prace domowe. Z sympatią patrzyłem na coraz to inne buzie, które utrwalałem na taśmie fotograficznej. Tak powstał ten fotoreportaż o dzieciach z jednej z himalajskich wiosek.

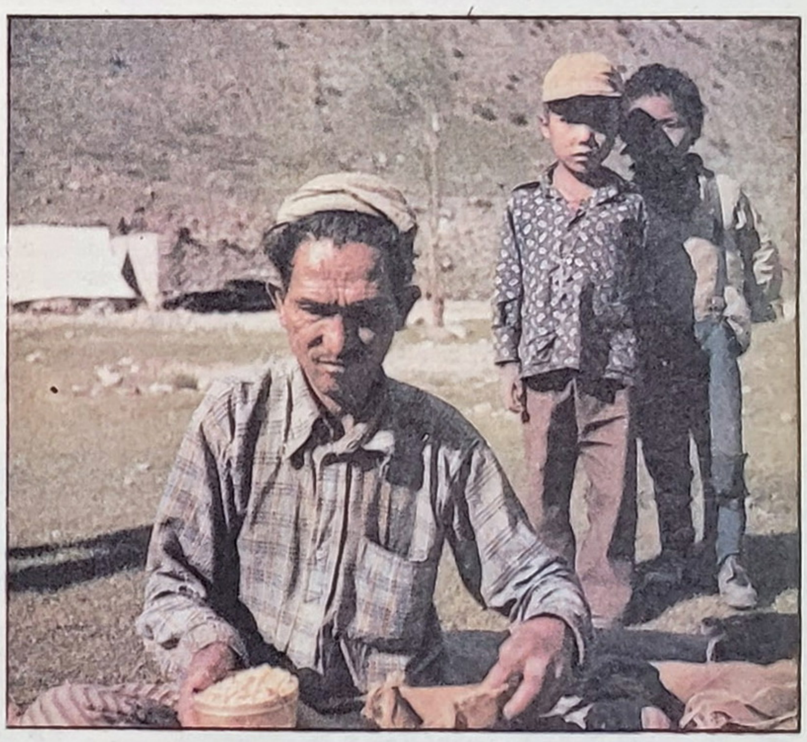

różne, nie wszystko da się skontrolować, sprawdzić, ująć w ramy przepisu. Owszem, słyszy się o sympatycznych i życzliwych gospodarzach. Ale moje rozmówczynie nie trafiły najlepiej. Właścicielka mieszkania przy próbie skorzystania z telefonu wskazuje na puszkę z napisem: „Tu wrzucać 3 zł." – po czym udaje się do drugiego pokoju, podnosi słuchawkę drugiego aparatu i spokojnie wysłuchuje dialogu. Potem komentuje, poucza, dyryguje. Normalka, Małgorzata jest tutaj drugi rok i prawie zdążyła się przyzwyczaić. Ale Hanka – nie, Hanka nigdy nie daruje swojego.

Stancja

Duży pokój, trzy łóżka, trochę innych sprzętów. W sumie nie zwracając uwagi na charakter gospodyni można żyć nie najgorzej. Małgorzata, Hanka i Jola. Albo inaczej: opanowanie z odrobiną refleksyjności, nadzieja na piosenkarską karierę i... no, taka sobie niefrasobliwa zwyczajność. Nad łóżkiem Hanki zgodnie z zainteresowaniami i duchem czasu okładki kilku płyt. Blask reflektorów, mocny makijaż gwiazd, wyrafinowane stroje.

Małgorzata: – Tamten konflikt w szkole nie był wcale taki niespodziewany. Hanka lubiła zawsze mieć ostatnie słowo, wtedy również. Ale nie byłoby o czym mówić, gdyby po trzaśnięciu drzwiami nie zniknęła na trzy dni. Jak kamień w wodę. Początkowo nawet my nie przypuszczałyśmy gdzie może być. List znalazł się później. Zawiadomienie rodziców, ich przyjazd tutaj – to nie są miłe sprawy. Ale najgorsze nastąpiło dopiero potem. Po prostu Hanka postanowiła działać jakby w drugą stronę. Gdy ktoś jej mówił jedno, ona robiła coś całkiem odwrotnego. Na przekór. I zwariowała z tym śpiewaniem. Wszystko miało od niego zależeć – ukończenie szkoły, wyjazd z tego miasta, zadowolenie. Myśmy patrzyły na nią trochę podejrzliwie, zwłaszcza gdy zaczęła opowiadać kogo to dzisiaj nie poznała i co ten ktoś może jej zapewnić. Nie znam się na tych sprawach. Ale chyba nie wszystko w życiu jest takie proste, jak by się chciało.

Z listu Hanki do rodziców, tego nie wysłanego: *„...jakby Wam ktoś naopowiadał głupstw o mnie, to nie wierzcie. Zamierzam wrócić, jak tylko mi się uda załatwić to przeniesienie. Przecież Wam to wszystko jedno, czy jestem tutaj, czy w Warszawie..."* Ten list został na stole, może przez nieuwagę. I po powrocie Hanki nie trzeba było pytać co się stało i czy się plan udał. Od razu po minie widać było, że nie.

Ucieczka?

Hanka: – Przecież człowiek ma prawo wybierać miejsce, gdzie chce być w szkole. Zresztą co mi tam. Mogę ją skończyć i tutaj. I tak nie będę się tłukła po szpitalach.

Jola: – W życiu nie widziałam dziewczyny z takim „drygiem" do ludzi. Może zrobić z nimi niemal wszystko. Nie wiem jaką ja będę pielęgniarką, to zresztą na krótko, ale Hanka, moim zdaniem, mogłaby być znakomitą. Umie ze wszystkimi porozmawiać, jak trzeba to i do swojego przekonać. Mówimy, że ma lekką rękę do ludzi. W szkole też – z ilu to ona sytuacji nie wyszła za jeden uśmiech.

Małgorzata: – Tak szczerze to i ja chciałabym pojechać kiedyś na parę lat do wielkiego miasta. Może do Krakowa? Tam się chyba lepiej żyje i pracuje; ludzie się tak nie znają i nie wiedzą o sobie wszystkiego. Zresztą – czy ja wiem... Marzyłam kiedyś, że się rodzice przeprowadzą, ale nici z tego. Z Hanką jest tak samo, tyle że ona postanowiła wyjechać sama, sama to sobie załatwić. Stąd wynalazła sobie to śpiewanie. Znam ją już dwa lata i w tej chwili jestem prawie pewna, że to nie o to chodzi. Chodzi po prostu o wyjazd stąd.

Jola: – Poza tą lekką ręką Hanka wcale nie jest taka najlepsza. Talent? Może i ma, ja się akurat na tym nie znam. Ale na zabawach czy dyskotekach proszą wszystkie, nie tylko ją. Powiem szczerze: wśród nas powtarza się często, że owszem, część dziewczyn ma szanse wyjazdu do dużych miast. Że będą to te najlepsze. Dlatego niektóre wmawiają sobie, że takie właśnie są. Hanka też – najlepsza, bo ma talent do śpiewania. Raczej guzik prawda.

Hanka: – Jest wiele sposobów wyrwania się stąd. I ja to kiedyś zrobię. A na razie powiedziałam sobie: spokój. Do matury – spokój. Czasem tylko ponosi mnie, gdy słyszę jak gospodyni podsłuchuje rozmowy telefoniczne. Ale może też się przyzwyczaję.

★ ★ ★

Taka sobie zwykła historia. Wielkie marzenia, wielki, a daleki świat – jak dotąd bez niczyjej krzywdy. Temat na złośliwy felieton. Gdyby nie prawdziwi ludzie i wszystko naprawdę. Każdego dnia do Warszawy przybywa kilkudziesięciu „uciekinierów". I ta liczba to już nie temat na złośliwy felieton.

MAREK ZARĘBSKI

„Zagłada króla"

„Walka dwóch koni"

Szachowe Eldorado

Obraz przedstawiający arcymistrza Michaiła Tala, w momencie rozpoczynania decydującego ataku

Gra w szachy już nieraz w swej długiej historii zapładniała twórczo artystów. Na ilustracjach – dzieła współczesnej tatarskiej malarki Galiny Satoniny.

– Od jak dawna szachy są znane w Rosji?

– Od ponad tysiąca lat.

– *Niemożliwe. Nieraz czytałem, że z tą grą zapoznali was mongolscy najeźdźcy na przełomie XIII–XIV wieku. Uważa się także za możliwe, że przyszła ona do Rosji jeszcze później z zachodniej Europy.*

Taką rozmowę, która miała miejsce na międzynarodowym spotkaniu historyków, wspomina w swej książce „Szachmaty na Rusi" radziecki historyk, Isaak Linder. – Później – kontynuuje autor – rozmawiano o tym, jak ta starożytna i mądra gra powstała niegdyś w Indiach, jak razem z algebrą i innymi naukami przynieśli ją na Sycylię, a później do Hiszpanii arabscy najeźdźcy. Z czasem przenikała ona do innych krajów i na przełomie pierwszego i drugiego tysiąclecia naszej ery zdobyła już popularność we Francji, Anglii, Niemczech i Skandynawii.

A kiedy trafiła na Ruś? Jaką drogą?

SENSACJA NR 2

W staroruskiej legendzie o nowogrodzkim kupcu Sadko znajduje się epizod opisujący rozgrywaną przez bohatera z Królem Mórz partią szachów. Na ogromnej 64-polowej szachownicy Sadko z wielkim wysiłkiem przenosi uczestników batalii – figury gigantycznych rozmiarów.

Jakież było zdziwienie, gdy w czasie wykopalisk archeologicznych w Nowogrodzie, w warstwie kulturowej datowanej na wieki XI do XV, znaleziono wyrzeźbione w kości maleńkie figury szachowe, prawie trzykrotnie mniejsze od używanych współcześnie. Wielkością i kształtem przypominają one znane w owych czasach i w Europie Zachodniej szachy pochodzenia wschodniego. I jeśli sensacją nr 1 było znalezienie w Nowogrodzie ogromnej ilości zwitków kory brzozowej, na której pisali dawni mieszkańcy miasta, to na pewno sensacją nr 2 były... szachy! Z głębin dawno minionych wieków wydobyto ponad 100 figur. Do czasu tego znaleziska szachowe piony, konie i królów znajdowano już w Kijowie, Wyszogrodzie, Mińsku, Grodnie i w wielu innych miejscach Kijowskiej Rusi. Jeśli dodać do nich około półtorej setki znalezisk pochodzących z późniejszych okresów, to powstaje kolekcja doskonale obrazująca zasięg gry w szachy, bezspornie znanej już na Starej Rusi nie później niż w dziesiątym wieku, a także ukazująca ewolucję, jaką przeszły figury.

SZACHY „Z TWARZAMI"

Na Rusi były używane również szachy „z twarzami", które w odróżnieniu od figur typu wschodniego – dość prymitywnie wyobrażających rolę poszczególnych figur, miały wyrzeźbione wyobrażenia „twarzy", odpowiadających ich ówczesnym nazwom. Archeolodzy znaleźli sporo takich figur z XI i XII wieku, na których wyobrażone są: łódź, pionki, słonie, konie i królowie. Wyrzeźbione realistycznie figury są prawdziwymi dziełami ówczesnej sztuki, i tak na przykład jedna z nich przedstawia świetnego wojownika trzymającego w lewej ręce tarczę, a w prawej berło (król), inna zaś bijącego w bęben wojownika, który daje sygnał do rozpoczęcia batalii (jeden z pionów). Znalezione na Białorusi dwie miniaturowe figurki szachowych łodzi (wieża), przedstawiają realistycznie używane powszechnie w XII wieku łodzie, a nawet strój ówczesnych wojowników.

Te figury „z twarzami" są tak różne od figur używanych na zachodzie Europy, że trudno między nimi przerzucić jakikolwiek most wzajemnego wpływu. Można się o tym przekonać porównując je np. z unikalnym znaleziskiem dokonanym w 1831 roku na wyspach Hybrydy. Figury szachowe tam odkryte w miejsce słonia mają biskupa, a łodzi z wojownikami – figury, które w czasie szachowej bitwy ustawiano na skrzydłach.

Czym wytłumaczyć takie różnice?

JAK SŁOŃ STAŁ SIĘ BŁAZNEM

Gdyby ustawić rzędem figury szachowe średniowiecznego Wschodu i współczesne, z trudem tylko można by znaleźć w ich kształtach wspólne cechy. Inna sprawa, gdy porównujemy nazwy tych figur i sposób gry – prawideł. W tym przypadku nietrudno dostrzec wpływ wschodniej terminologii, szczególnie w tych krajach, gdzie dochodziło do bezpośrednich kontaktów z ludźmi Wschodu, a więc w Hiszpanii, Włoszech i na Rusi. Weźmy np. figurę stojącą w tym samym rzędzie co król; na Wschodzie nazywana jest ona „p i l" (termin tadżycko-perski) lub „a l f i l" (w języku arabskim), słowo to jest tłumaczeniem z sanskrytu i oznacza „słoń". Hiszpanie ucząc się gry od Arabów pozostawili to określenie bez tłumaczenia, brzmi ono a l f i l, Włosi – a l f i e r e. W innych krajach, które przejmowały terminy szachowe już z drugiej ręki, przechodziła ta nazwa najdziwniejsze przeobrażenia, w końcowym efekcie nie mając już nic wspólnego z pierwowzorem. Tak więc Francuzi na skutek dźwiękowych skojarzeń nazwali tę figurę f o l, f o u – co znaczy „błazen", „dureń". W Anglii nazwano ją b i s h o p (biskup), Niemcy dali jej miano l a u f e r (biegacz), zaś Czesi s t r e l e c (strzelec) itd. Zupełnie inaczej ułożyły się losy nazwy tej figury na Rusi. Chociaż żywy słoń był w tych czasach chyba mało znany wschodnim Słowianom, to rzeźby tego indyjskiego zwierzęcia docierały tu w drodze wymiany handlowej ze Wschodem. Na przykład z wyobrażeniem słonia spotykamy się na malowidłach cerkiewnych i klasztornych już z XII wieku. Dlatego też nie ma w tym nic dziwnego, że rosyjska nazwa tej figury jest tłumaczeniem z języków wschodnich i nazywa się (po prostu) słoń.

GRALI I CAROWIE...

Pod wpływem Bizancjum władze kościelne Rusi zabroniły w XIII wieku gry w szachy, na równi z grą w kości i innymi „szatańskimi wymysłami". Zakaz ten obowiązywał bardzo długo i stąd w starych kronikach ruskich nie znajdujemy ani słowa na temat szachowych batalii. Dopiero za panowania cara Iwana IV – Groźnego (1530–1584) pojawiają się pierwsze wzmianki o tej grze. Według niektórych źródeł car umarł w trakcie rozgrywania partii szachów.

W latach wczesnej młodości grywał również w szachy car Piotr I. Zachowało się wiele jego poleceń, aby komplet szachów dla niego „kupić natychmiast". Nie zapomniał o tej grze i w czasie wojennych pochodów; używał wtedy specjalnych szachów wykonanych ze skóry. Znajdują się one obecnie w leningradzkim Ermitażu.

Mijały wieki, zwykła, amatorska gra w szachy zaczęła zmieniać się w sport. W XIX wieku pojawiają się pierwsi mistrzowie, kluby szachowe, pisma i książki poświęcone teorii szachów. Rozwijają się międzynarodowe kontakty szachistów. W tym czasie rosyjska szkoła szachowa zdobywa wielki autorytet na całym świecie; w 1867 roku pisze się już na zachodzie Europy, że na pierwszych mistrzostwach świata rosyjscy mistrzowie z A. Pietrowem na czele przedstawiają *„plejadę świetnych szachistów, którzy już zaczęli wywierać ogromny wpływ na grę w szachy w Europie"*. W końcu minionego wieku mistrz świata Emanuel Lasker nazwał Moskwę *„szachowym Eldorado"*.

Tak jest i dziś; na wszystkich turniejach i mistrzostwach czołową rolę odgrywają szachiści ZSRR z mistrzem świata Anatolijem Karpowem na czele. A szachy są najpopularniejszą grą w całym Kraju Rad i tak naprawdę to mają one więcej zwolenników niż piłka nożna czy hokej, bo najczęściej są to ci sami ludzie plus wielu innych, jako że w szachy grają po prostu wszyscy.

Oprac. JERZY KOWALKOWSKI

Fot. **archiwum**

Makijaż? – Hm, hm...

DOM MODY świata młodych

Doszłam do wniosku, że dzisiejszy odcinek „Domu Mody" potraktuję jako kolejny w serii – trzy poprzednie były o pielęgnacji włosów, wobec tego teraz napiszę co nieco o makijażu.

Makijaż? – hm, hm... Jak się ma naście lat, sprawa to odrobinę dyskusyjna. Z paru powodów. Po pierwsze – naprawdę brzydko wygląda jak młodziutka dziewczyna wypacykuje się bez umiaru (starszych to zresztą też dotyczy, umiar w tym względzie powinien dotyczyć wszystkich, bez względu na wiek); po drugie – dla młodej skóry kontakt z nadmiarem preparatów chemicznych (a te wszystkie szminki i fluidy, to wszak wytwory chemiczne) nie jest najzdrowszy i za lat parę można swej „cielęcej" głupoty setnie żałować (znam takie dorosłe panie, co żałują); po trzecie wreszcie – nie jest to wskazane ze względów... finansowych też: te wszystkie szminki, fluidy i tusze (o ile są w dobrym gatunku, a tylko takie używać warto, bo inne się po paru chwilach rozmazują i wygląda rzecz ohydnie wręcz) sporo kosztują i uczniowskie kieszonkowe raczej nie wystarczy. Więc z tego wszystkiego wynika, że jeśli mowa o makijażu, to ja bym Wam radziła – NIE!

Nie znaczy to jednak wcale, że twarzą swoją zajmować się już absolutnie nie należy. Wręcz przeciwnie – pewne czynności kosmetyczno-higieniczne i pewne kosmetyczno-upiększające są jak najbardziej wskazane, bo po prostu ogromnie potrzebne. Nie będę się zajmować w tej chwili problemem trądziku młodzieńczego, na który cierpi sporo nastolatek – sprawa jest w gestii lekarza dermatologa (wizyta konieczna i stosowanie się bardzo ścisłe do jego wskazówek też!), bywają tego trądziku różne odmiany i różne sposoby leczenia więc nie chciałabym nikomu w głowie zamącić i... zaszkodzić. Moje uwagi skierowane są do dziewczyn, które z cerą kłopotów specjalnych nie mają.

Parę słów o kremach do twarzy. Jest ich bez liku. Różnią się między sobą nie tylko zapachem, pudełeczkiem i ceną, lecz przede wszystkim działaniem. I to ostanie (działanie!) jest najważniejsze. Absolutnie nie wolno używać kremu swojej mamy! Dla mamy doskonały, dla córki – będzie zabójczy! Jest bardzo wiele kremów przeznaczonych dla starszych pań, bardzo aktywnych, które są szkodliwe dla młodziutkiej skóry, bo zupełnie niepotrzebnie ingerują (często są to kremy hormonalne) w zachodzące w niej procesy. Nastolatka używać powinna kremów ochronnych jedynie, o bardzo łagodnym działaniu, wyłącznie zapobiegawczym, ochronnym właśnie. Skóra nasza (dotyczy to szczególnie mieszkanek miast używających do mycia mocno chlorowanej wody) jest mocno wysuszona. Stąd konieczność używania łagodnego kremu nawilżającego (np. „Gracja"). W okresach ładnej pogody, gdy jest ciepło – i na dzień, i na noc, a teraz, gdy na dworze powietrze jest ostre – tylko na noc. Na dzień natomiast, gdy wychodzi się na dwór trzeba skórę twarzy zabezpieczyć jakimś nieco tłuściejszym kremem ochronnym typu sportowego (krem „Sportowy" właśnie lub „Nivea"). Oczywiście każdy krem nakłada się na czystą twarz, po jej umyciu, wklepując go bardzo delikatnie w skórę twarzy opuszkami palców (też czystych!). Nigdy nie należy kremu wcierać – rozciąga się w ten sposób skórę i jest to pierwszy krok do powstania (w przyszłości oczywiście) brzydkich zmarszczek.

Twarz, szczególnie po użyciu kremu, ma tendencje do brzydkiego świecenia się. O ile w warunkach wakacyjno-plażowych jest to świecenie się jak najbardziej na miejscu, to w innych sytuacjach zbyt ładnie nie wygląda. Szczególnie zbyt mocno świecący się nos urody nikomu nie dodaje. Ten świecący się nos można (i należy wręcz) leciuteńko przypudrować. Najzdrowszym pudrem dla nastolatki będzie... dobra zasypka dla niemowląt, którą się rozprowadza po skórze specjalnym pędzelkiem. Jestem za pędzelkiem, bo on puder (zasypkę) rozprowadza po skórze, a każdy puszek czy watka będzie go w skórę wciskał. Jeśli ktoś jest absolutnie przeciw zasypce (że biała, to na skórze wcale nie widać!), można zastosować puder kosmetyczny sypki (nigdy w kamieniu czy w płynie, kremie) w bardzo jasnym kolorze.

Teraz oczy. Na ich malowanie naprawdę możecie lat parę poczekać. W wyjątkowych sytuacjach (raz na kwartał jak superprywatka wypada) dziewczyna, która ma lat 14–15 może sobie musnąć powieki specjalnym kolorowym cieniem. Pędzelkiem się to robi specjalnym do tego celu. Mam na myśli cienie-pudry, a nie kremy. Jeśli komuś nagminnie wypadają rzęsy (to się często zdarza) można je smarować (używając szczoteczki do rzęs) płynną witaminą A. Z jednej strony wzmacnia ona rzęsy, z drugiej – robią się odrobinę bardziej błyszczące i jakby dłuższe (to ostatnie, to wrażenie tylko, ale samopoczucie poprawia). Płynna witamina A jest jedynym rodzajem „tuszu do rzęs", który w Waszym wieku jest dopuszczalny.

Jestem zdecydowanie przeciwko malowaniu ust kolorowymi szminkami. Można je natomiast pokryć warstwą wazeliny (są takie specjalne wazelinowe kredki w „normalnych" oprawkach jak szminki do ust). Wargi są po tej „operacji" bardziej błyszczące, a poza tym wazelina jest dobrą ochroną przed wpływami atmosferycznymi, takimi jak wiatr czy zbytni chłód. Polecam to również na co dzień tym dziewczynom, które mają zwyczaj zagryzania warg – łagodzi ich podrażnienia.

I jeśli chodzi o makijaż twarzy (!) to byłoby wszystko, ale słów jeszcze parę chciałabym szepnąć o... paznokciach. Bo wygląd paznokci świadczy o kulturze ich właścicielki. Powinny być ładnie, równo (krótko też) obcięte, wyrównane pilniczkiem, z powycinanymi starannie skórkami. Jeśli komuś paznokcie się bardzo łamią (stosunkowo częsta dolegliwość) można je pokryć warstwą bezbarwnego lakieru, który paznokieć nieco utwardza. Jest to jedyny kolor lakieru dopuszczalny do stosowania. Mogą go zastosować również dziewczyny, którym się paznokcie nie łamią, a które chciałyby je w extra sytuacjach jakoś upiększyć. Wycinania skórek trzeba się nauczyć (od mamy, od starszej siostry, od jakiejś kuzynki). Jeśli ktoś jest taka „noga", że nauczyć się tego nie jest w stanie (zdarzają się takie dziewczyny i żaden to wstyd), a w pobliżu nie ma dobrej duszy, która by ten zabieg wykonała, warto się co jakiś czas udawać w tym celu do manikurzystki. To oczywiście trochę kosztuje (więc lepiej samej tę umiejętność posiąść), ale z uczniowskiego kieszonkowego starczy.

Jestem zdania, że zdrowiej jest przepuścić kieszonkowe na manikiurzystkę (jeśli taka potrzeba zajdzie) niż na ciacha z kremem!

Cześć!

RIUSZKA

Jeszcze raz o projekcie misji „GALILEUSZ"

Niedawno ukazał się artykuł kol. Jacka Nowickiego o projekcie misji międzyplanetarnej „Galileusz". Pisze on, że „lot stacji planowany jest na lata 1981–82". Tymczasem NASA poinformowała, że program kosmiczny „Galileusz", w ramach którego miała być dokładnie zbadana atmosfera Jowisza, zostanie opóźniony o dwa lata w związku z problemami wynikłymi przy konstrukcji promu kosmicznego. Ze względu na masę „Galileusza" (2 tony) projekt musiał być zmodyfikowany: statek i sonda do badań atmosfery będą musiały być przetransportowane na orbitę wokółziemską za pomocą dwóch promów, co wymagać będzie wyasygnowania na cały program, oceniany obecnie na 450 mln dolarów, dodatkowych 184 mln. A jak wiemy, pierwszy lot promu kosmicznego „Columbia" odbędzie się nie wcześniej jak latem 1980 r.

Janusz Długaj
ul. Sobieskiego 17
43-140 Tychy-Lędziny

Polecamy dwie nowe książki o planetach i Układzie Słonecznym

Chciałabym poinformować czytelników „Tomika", że ukazały się właśnie dwie nowe książki z zakresu astronomii:

1. „Świat planet" Konrada Rudnickiego i T. Zbigniewa Dworaka w serii „Biblioteka problemów" (30 zł, str. 226) – ukazuje znane już fakty, jak i najnowsze, dotyczące planet Układu Słonecznego. Porusza też problemy możliwości życia i pobytu na innych planetach. Książka zawiera także wiadomości o nie odkrytych planetach Układu Słonecznego, a także o planetach innych słońc.

2. „Narodziny i rozwój Układu Słonecznego" Olgierda Wołczka, wydana przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich (55 zł, 298 str.) – zawiera wiadomości o planetach, Układzie Słonecznym jako całości oraz przedstawia jego przyszłe losy. Zawiera również wiadomości dotyczące komet (zamieszczona jest na końcu książki charakterystyka części składowych komet). Obie te książki zawierają szereg ciekawych zdjęć, w tym reprodukcje fotografii uzyskanych przez radzieckie i amerykańskie statki kosmiczne.

Ewa Milczarek
członek SA Gł „POL"

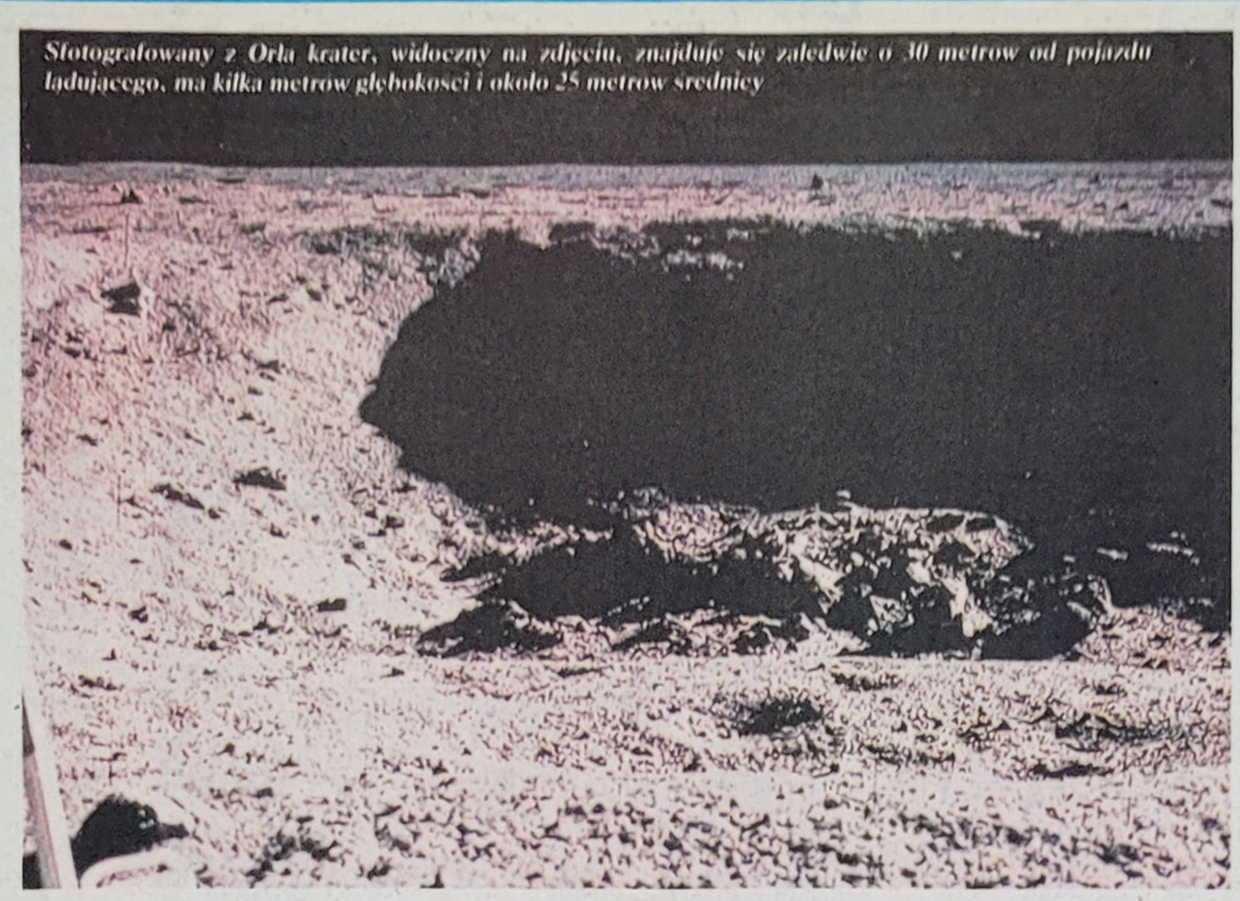

Sfotografowany z Orła krater, widoczny na zdjęciu, znajduje się zaledwie o 30 metrów od pojazdu lądującego, ma kilka metrów głębokości i około 25 metrów średnicy

Ciągle otrzymuję pytania związane z budową lunet amatorskich, a także zakupu różnych wydawnictw (np. obrotowej mapy nieba), podaję po raz któryś adres Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, w którym można zamawiać m. in. zestaw do budowy własnej lunetki. Zarząd Główny PTMA. Kraków, ul. Solskiego 30. Pisząc do PTMA bądźcie cierpliwi, Towarzystwo nie ma dużego personelu i załatwianie spraw trwa nieraz dość długo.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

Czy Księżyc jest martwy?

Utarło się przekonanie, że pozbawiony wody i atmosfery Księżyc jest od miliarda lat martwym, zimnym ciałem niebieskim. Czy rzeczywiście tak jest? Radzieccy astronomowie, którzy prowadzą systematyczne obserwacje Srebrnego Globu, sięgnęli do starych zapisków.

Wielokrotnie podczas obserwacji Księżyca widziano gołym okiem dziwne zjawiska. Były to powiększające się ciemne piętna, wyraźne zamglenia w okolicach księżycowych mórz oraz widoczny, szczególnie podczas pełni, pulsujący blask. Angielska kronika z XI w. zawiera wzmiankę o dostrzeżonych na Księżycu płomieniach.

Początkowo takie relacje traktowano jako wytwór fantazji lub omyłki spowodowanej złudzeniem optycznym. Jednak niedawno astronomowie radzieccy z obserwatorium w Pułkowie pod Leningradem ujawnili występowanie w rejonie jednego z księżycowych kraterów dwutlenku węgla. Przez kilka lat fotografowano Księżyc w promieniach podczerwonych. Uczeni radzieccy i amerykańscy znaleźli w kilku kraterach miejsca o temperaturze wyższej o ok. 100 stopni niż w sąsiedztwie. Takie gorące punkty dostrzeżono m. in. w kraterach nazwanych imieniem Kopernika i Keplera.

Amerykańscy astronomowie z Houston uwzględnili na mapie Księżyca odkryte gorące punkty oraz epicentra znanych trzęsień. Większość z nich koncentrowała się w pobliżu kraterów. Miejsca trzęsień Księżyca znajdowały się w pobliżu obszarów o podwyższonej temperaturze.

Ok. 4 mld lat temu wielkie meteory „podziurawiły" powierzchnię Księżyca wdzierając się na wiele kilometrów w głąb Srebrnego Globu. Powstały w ten sposób otwory, którymi wypływała z wnętrza Księżyca lawa tworząc obecne księżycowe morze. Później powierzchnia Księżyca ostygła i stwardniała, ale wybite przez meteory kratery stanowią słabe punkty powierzchni Srebrnego Globu. Mogą to być spękania lub miejsca porowate, przez które wydobywa się z wnętrza lawa. Jest to także miejsce koncentracji zjawisk sejsmicznych. Tak więc Księżyc wbrew dotychczasowej opinii nie jest całkowicie martwy.

Prawo kosmiczne

Piszę w sprawie poruszonego tematu w „ŚM" z dnia 23.X.br. Otóż jest tam artykuł „Księżyc dla wszystkich!" Chciałbym pogłębić ten temat.

W bogatym programie obecnych spraw Prawnego Podkomitetu Kosmicznego ONZ na czoło wysuwa się kwestia aktu zawierającego szczegółowe zasady badania i wykorzystania Księżyca. Potrzeba takiego dokumentu okazuje się coraz bardziej nagląca w miarę intensyfikacji penetracji jedynego naturalnego satelity Ziemi przez człowieka. Ustanowienie odpowiednio precyzyjnych i wyczerpujących zasad prawnych stanowi niezbędny warunek zapobieżenia sporom i uniknięcia niepotrzebnych konfliktów, jakie mogłyby już w niedługim czasie wyniknąć, zwłaszcza pomiędzy mocarstwami bezpośrednio zainteresowanymi eksploracją Srebrnego Globu. I dlatego Związek Radziecki jeszcze w roku 1971 wystąpił z inicjatywą zawarcia międzynarodowego traktatu w sprawie Księżyca, przedstawiając jednocześnie konkretny jego projekt, złożony ze wstępu i piętnastu artykułów. Tekst ten uzupełniony propozycjami zgłoszonymi później przez inne państwa, m. in. Stany Zjednoczone, Argentynę, Bułgarię, Indie i Kanadę, stał się podstawą trwających już ponad sześć lat dyskusji prowadzonych głównie w Prawnym Podkomitecie Kosmicznym Organizacji Narodów Zjednoczonych. Do jego XIV sesji, obradującej w Nowym Jorku w lutym i marcu 1975 roku uzgodniono treść roboczego projektu traktatu, z wyjątkiem zaledwie paru najbardziej kontrowersyjnych sformułowań.

STATUS PRAWNY ZASOBÓW NATURALNYCH KSIĘŻYCA

Nie budziło wątpliwości postanowienie (art. V) uprawniające państwa do zabierania z Księżyca dla celów naukowo-badawczych próbek znajdujących się tam minerałów oraz innych substancji. Jednak przedmiotem ożywionej dyskusji wciąż jeszcze są zasady przyszłej przemysłowej eksploatacji jego zasobów. Większość krajów kapitalistycznych, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, zgodziła się ostatecznie ze stanowiskiem krajów wspólnoty socjalistycznej, iż rozstrzygnięcie tego zagadnienia należy pozostawić do czasu, kiedy taka eksploatacja okaże się całkowicie realna. Odmienne stanowisko zajmują natomiast nadal liczne kraje Trzeciego Świata, domagając się stanowczo rozwiązania problemu już obecnie m. in. przez wyraźne zastrzeżenie w traktacie, że zasoby Księżyca tworzą wspólne dziedzictwo całej ludzkości.

MIĘDZYNARODOWA OCHRONA ŚRODOWISKA NATURALNEGO KSIĘŻYCA

Artykuł VI dotyczy obowiązku państw powstrzymywania się od działań, które mogłyby naruszać naturalną równowagę środowiska księżycowego. Przewiduje się przy tym m. in., że sygnatariusze powiadamiać będą inne państwa oraz sekretarza generalnego ONZ o tych rejonach księżycowych, które posiadają szczególne znaczenie dla nauki, żeby można było w drodze specjalnych porozumień międzynarodowych zapewnić im odpowiednią ochronę jako międzynarodowym rezerwom naukowym.

Krzysztof Jackowski
czł. Klubu „CYGNUS"
ul. Armii Czerwonej 23/1
77-300 Człuchów

SEJMIK MŁODYCH WYNALAZCÓW

KATOWICE (inf. wł.). Jak zmniejszyć zużycie paliwa w samochodach i jaka będzie nowoczesna stacja benzynowa? W jaki sposób można wykorzystać odpady powstające przy produkcji tworzyw sztucznych? Co trzeba zmienić w nowoczesnych halach fabrycznych, aby ograniczyć hałas powstający przy pracy maszyn? Do czego przyda się wyłącznik oszczędnościowy w windzie?

Na te i inne pytania znajdowali wiele interesujących odpowiedzi – rozwiązań technicznych – młodzi uczestnicy II Sejmiku Wynalazczości Technicznej, organizowanego przez Komendę Chorągwi w Katowicach i Uniwersytet Śląski w Ośrodku Harcerskim w Chorzowie.

Młodzi wynalazcy przybyli na sejmik, to uczniowie szkół ponadpodstawowych: techników i liceów województwa katowickiego. Każdy z nich może się pochwalić osobistym sukcesem w dziedzinie wynalazczości, wielu jest uczestnikami Olimpiad Wiedzy Technicznej, Turnieju Młodych Mistrzów Techniki, zdobywcami młodzieżowych patentów, członkami Młodzieżowego Towarzystwa Naukowego.

Przyjechali, by pod kierunkiem wykładowców z Uniwersytetu Śląskiego rozwiązywać nowe problemy techniczne, podzielić się z kolegami swoimi osiągnięciami, spostrzeżeniami, poszerzyć swoje wiadomości. Całe trzy dni pobytu wypełnione były zajęciami. Do najbardziej interesujących należały: burza mózgów, dyskusje nad udoskonaleniem nowych urządzeń i innym zastosowaniem już znanych. Pomysły racjonalizatorskie uczniów były różne: począwszy od ciekawego usprawnienia przewozu puszek, na dwuosobowym parasolu skończywszy.

W ostatnim dniu sejmiku jego uczestnicy zwiedzili Planetarium Śląskie i Wojewódzki Park Wypoczynku.

Następne tego typu spotkanie odbędzie się w styczniu przyszłego roku. Umożliwi to uczniom korzystanie z pracowni technicznych uniwersytetu i konsultacje z naukowcami i studentami uczelni. **(bg)**

GERLINDA I JEJ KONIE

Oto Gerlinda. Młoda nastolatka, która świata poza końskim ogonem nie widzi. Bo konie to jej pasja, namiętność, miłość. Rodzice Gerlindy z lekkim zgorszeniem patrzą na szaleństwa swojej jedynaczki, która nie dość, że absolutnie nie dba o swój wygląd (jak inne panienki w jej wieku), to jeszcze na dodatek od świtu do nocy siedzi w końskich boksach – uczy się hodowli, pielęgnuje i ujeżdża ulubioną, choć o wyjątkowo trudnym charakterze klacz Violę. O koniach myśli zresztą bardziej niż o sobie – i prędzej dostrzeże nie dość starannie wyszczotkowany grzebiet któregoś z wierzchowców niż upaprane i rozdarte drelichowe portki czy uważne spojrzenia kolegi – Franka. A jest się w końcu czemu przyglądać i dziwić, bo Gerlinda – znana wśród rówieśników z piekielnego uporu, ambicji i pracowitości, postanowiła, żeby nie wiem co zostać pierwszą w dziejach NRD kobietą – dżokejem. Oczywiście nie obywa się bez kłopotów: przełamywania uprzedzeń rodziny i otoczenia, cierpkich uwag, drwin i porządnych batów, które zbiera po drodze. Ale jest też i trochę sukcesów. Jeden z nich nazywa się Jürgen. Jest sympatyczny i przystojny, uwielbia zwierzęta i postrzelone dziewczyny...

„Dżokej Gerlinda" – druga z kolei powieść współczesnej pisarki NRD – Sieglinde Dick, to nie tylko historia upartej nastolatki, która swoją przyszłość postanowiła związać z końmi.

S. Dick – „Dżokej Gerlinda", wyd. I Iskry 1979, s. 246, cena 23 zł

DZIELNY KORKORAN WŚRÓD MIRATÓW

Gdy się ma naście lat – marzy się o dalekich, egzotycznych podróżach, niezwykłych przygodach i wspaniałych bohaterskich wyczynach, które na starość przyniosą podziw i wieczną sławę. Kiedy więc zaczyna się dorosłość, nadchodzi pora realizacji tych dziecięcych marzeń... Podobnie było z kapitanem Korkoranem, młodzieńcem szlachetnym i nieustraszonym, który zapuścił się w głąb egzotycznych Indii, by wypełnić wielkiej wagi misję naukową. Co prawda z całego przedsięwzięcia wyszły przysłowiowe nici, bo kapitan, pojechawszy tam w towarzystwie wiernej lwicy Luizy, miast odnaleźć najstarszą indyjską księgę „Gurukaramtę", uwikłał się w niezwykłe przygody i waśnie między Anglikami a władcą państwa Miratów – Holkarem, ale o ile bardziej skorzystał na tym czytelnik!

Autorem tej interesującej powieści przygodowej, napisanej lekko i dowcipnie, w oparciu o autentyczne wydarzenia buntu żołnierzy hinduskich w II poł. XIX wieku jest paryski profesor historii – naukowiec, który zasmakowawszy w twórczości literackiej, porzucił uniwersytecką karierę i oddał się nowemu zajęciu.

Przy okazji przygód kapitana Korkorana warto dodać i słów parę o serii w jakiej się ukazały. Jest to seria wydawnictwa „Iskry" pod nazwą „Klasyka Młodych", w której pojawiły się wznowienia popularnych ongiś powieści, po które sięgały wcześniejsze pokolenia czytelników. Dotychczas ukazały się w niej m.in. „Ostatni Mohikanin" i „Szpieg" J.F.Coopera, „Siedemnastolatek" B. Tarkingtona, „Wymarzony dom Ani" L.M. Montgomery.

A. Assollant – „Niezwykłe, choć prawdziwe przygody kapitana Korkorana", wyd. II Iskry 1979, s.196, cena 28 zł

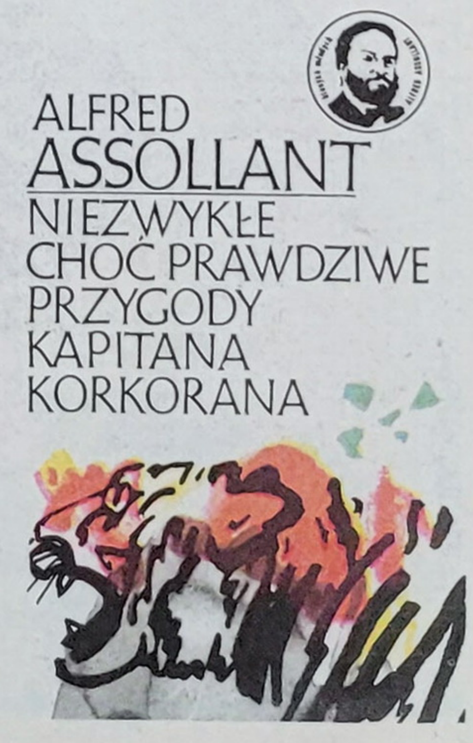

TYTUS, Romek i A'TOMEK

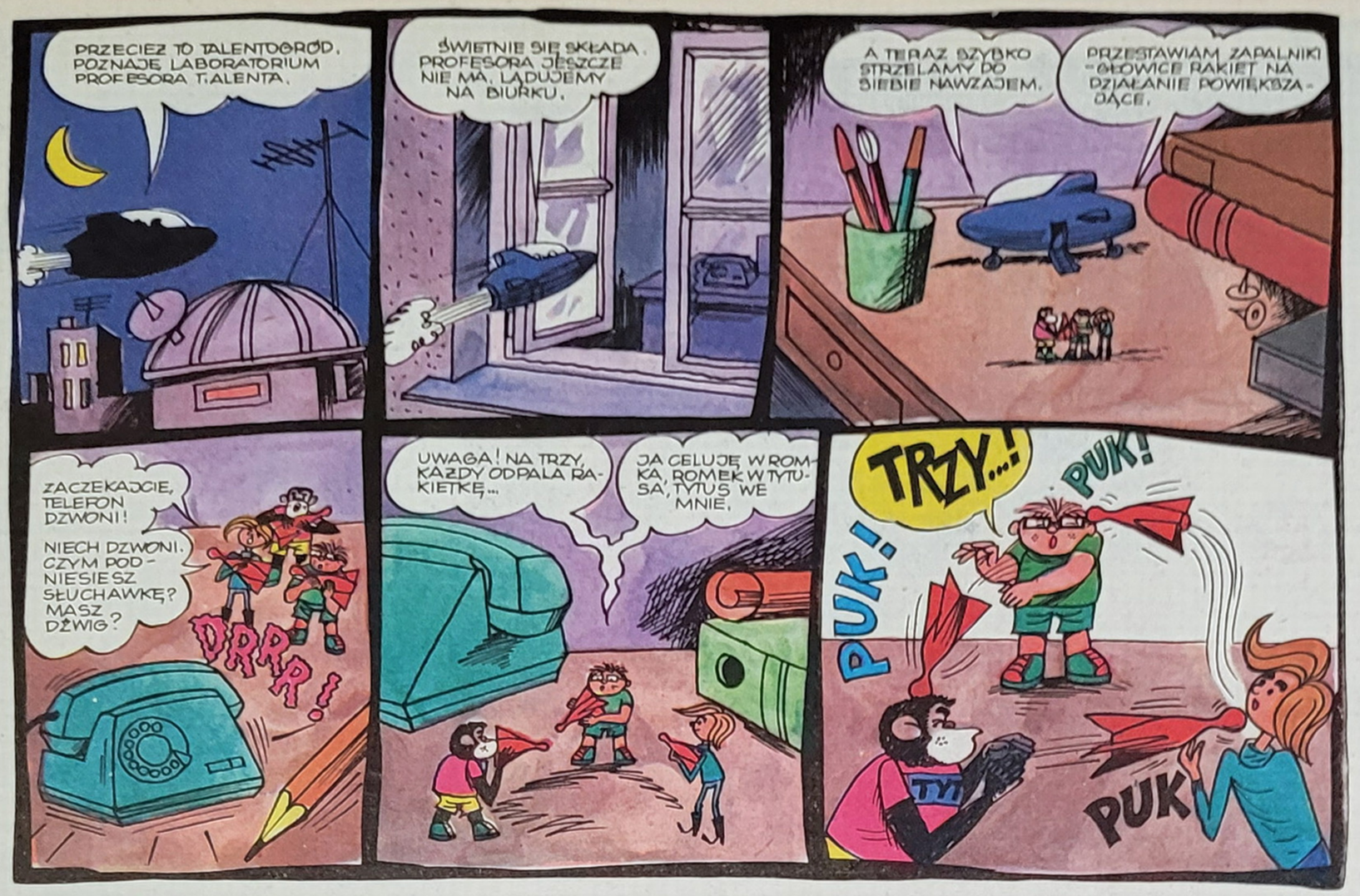

Tekst i rysunki
PAPCIO CHMIEL
Współpraca
Małgorzata Wąsik

ŚWIAT MŁODYCH
TYGODNIK GAZETA MŁODYCH ATOMÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"

Nr zam. 7332/G C-117

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Co harcerz ma i co z tego wynika – o harcerskim gospodarowaniu majątkiem posiadanym przez Związek dyskutowano na VII Plenum Rady Naczelnej ZHP
- Triumfalny powrót Zielonego Purchla na karty historii. Przeczytajcie – dowiecie się, o co chodzi!
- Na początku był... wygłup. Wyrósł z tego dobry, choć nietypowy – bo babski – kabaret „Gżypek"
- W cyklu „Nasi Czytelnicy piszą": „Tarcza na agrafkę i polowanie na uczniów"!

Monika Warneńska

WĄŻ MA GROŹNE OCZY

– Pan Sagneux na pewno będzie wiedział – odparła Kasia. Obejrzeli dokładnie szpital w grocie, bambusowe prycze w załomach i wnękach głębokiej pieczary, rozgałęzionej licznymi podziemnymi korytarzami. Zwiedzili wydrążone komory, które służyły jako schron, kiedy trzeba było schodzić głębiej podczas bombardowań. Widzieli magazyn leków w głębokim podziemiu, z sufitem zabezpieczonym falistą blachą przed wilgocią sączącą się ze ścian. Z dumą obejrzeli obok leków węgierskich i radzieckich flakony z etykietami „Polfa" na opakowaniach.

Widzieli ludzi okaleczonych minami – i dreszcz ich ogarniał na myśl o tej „cichej śmierci" czyhającej na leśnych ścieżkach.

– Było nam bardzo ciężko podczas bombardowań – mówił lekarz, pokazując posiekane odłamkami masywne drewniane drzwi, prowadzące do grot. – Teraz samoloty nieprzyjacielskie prawie wcale się nie pojawiają. Nasze radio coraz częściej mówi o postępach w rokowaniach. Może wreszcie zbliża się koniec wojny?

– Kiedy wrócimy? – to pytanie powtarzało się w każdej rozmowie.

– Ja nawet chętnie bym tu jeszcze posiedział – oświadczył Włodek. – To wszystko jest bardzo ciekawe! Tylko, że tam pewnie wszyscy się o nas martwią!

– Ale przecież jesteśmy na terenach kontrolowanych przez Pathet Lao, a czeka nas droga do części „królewskiej" Laosu. To tak jak gdyby na przeciwną stronę frontu! Jak się stąd wydostaniemy!

– Bądź spokojna! – zapewnił niefrasobliwie René. – Już oni to jakoś na pewno załatwią.

Miał słuszność. W trzy dni później doktor Sambat oznajmił:

– No, przyjaciele! Jutro ruszacie w drogę. Przygotowaliśmy wszystko tak, że nie zmęczycie się zanadto, a pod eskortą naszych żołnierzy ani wąż boa, ani jadowite kobry, ani ludzie Vang Pao wam nie grożą! Żałuję, że już wracacie. Ale myślę, że się jeszcze spotkamy, albo w Vientiane, albo w Paryżu. Toczą się rokowania. Wojna zmierza ku końcowi!

KONIEC

UWAGA! Powieść Moniki Warneńskiej pt. „Wąż ma groźne oczy" ukaże się jeszcze w tym roku nakładem Młodzieżowej Agencji Wydawniczej.

W następnym numerze rozpoczynamy druk nowej powieści Anny Frankowskiej pt. „PRZECIEŻ TO WSZYSTKO". Będzie to opowieść współczesnej dziewczyny o jej życiu i problemach związanych ze szkołą i rodziną.